

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety

ROK LX

WARSZAWA, DNIA 26 MARCA 1927 ROKU

NR 13

TREŚĆ NUMERU: Dokoła ważnego zagadnienia—*H. C.* Książki kobiece i książki o kobiecie—*Dr. M. Kasterska*. Przez okna i drzwi otwarte do dusz wielkich ludzi—*C. Walewska*. Wiersz: Z cyklu „Prymitywy”—*Juliusz Wirski*. Święta prowincja—*M. Crnjanski*—w tłumaczeniu *M. Znatowicz-Szczepańskiej*. Jak słońce spija rosę (opowieść) (c. d.)—*Helena Ceyssingerówna*. Hetman złotobrody i władczyni Libanu (dok.)—*Karolina Bielańska*. Walka o człowieka—*Józef Janowski*. „Rzeczy najważniejsze” (feljeton)—*W. Miłaszewska*. Kobieta w świecie i w domu—*Z. B. Z teatrów*—*Z. P.* Wielkopostne refleksje pokarnawałowe—*Well*. Jak wynaleziono radio—*Br. L. Życki*. Zdobienie roślinami mieszkań i stołów jadalnych dawniej i dziś—*Ob.* Pierwsza pomoc w nagłych wypadkach—*Dr. med. Julia Świtalska*. Post dawniej a dzisiaj—*Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie—*Pani Elżbieta*. Dobre rady. Korespondencje. Dodatek „Mody i roboty”: Kapelusze wiosenne—*Well*. Stora na siatce. Dodatek powieściowy: Rąbek zasłony—*Colette Yver*, autoryzowany przekład *S. Ł. Arkusz wzorów*.

DOKOŁA WAŻNEGO ZAGADNIENIA

(Głosy Czytelników)

Zamieszczony w „Bluszczu” artykuł p. t. „Skarb młodości” nie pozostał bez echa.

Poruszone w nim zagadnienie podwójnej moralności i jej złowrogich następstw wywołało, solidaryzujące się z poglądami naszymi, głosy czytelników. Głosy te rozwijają i uzupełniają myśl naszą.

Uważamy za swój obowiązek podać je choćby w streszczeniu.

„Podwójna moralność, — pisze pani W. W. z Płockiego — to wrzód na ciele ludzkości, powodujący tyle nieszczęść w rodzinach.

Czyż może istnieć prawdziwe szczęście w małżeństwie, oparte na zaufaniu i szacunku żony dla męża, jeżeli młoda, czysta kobieta, w dowód zaufania ze strony małżonka, dowiaduje się o różnych sprawkach jego, które w niej budzą wstręt? Lekkie charaktery, często, po takim wyznaniu, rzucają się w wir uciech i flirtów; poważniejszym—osiada w duszy żal, który jest powodem braku harmonji w pożyciu”.

W dalszym ciągu pisze pani W., że wpływ matki na syna będzie pod tym względem niedostatecznym, jeżeli współdziałać z nią nie będzie szkoła i społeczeństwo, zwłaszcza, że ten syn najczęściej za domem i poza obrębem jego dodatnich oddziaływań. Doma ga się więc, aby szkoła kształciła silną wolę wychowanków, wpajała w nich umiłowanie idealnego życia, uświadamiała racjonalnie pogadankami, prowadzone mi przez specjalistów. Ubolewa, że praca w tym kierunku, zapoczątkowana u nas przed wojną, obecnie została zaniedbana. Odpowiednie wydawnictwa uległy

wyczerpaniu, a nowych niema. Natomiast na każdym kroku spotkać się można z pornografią i przykładami wyuzdania. Odwołuje się, wreszcie, do opinii publicznej: „Dlaczego inne grzechy spotyka zasłużone potępienie?! nieczystość zaś pomijana jest zawsze milczeniem, ona, która najwięcej szkody przynosi społeczeństwu?!“

Pani W. W. nie wnika w metody domowego wychowania młodzieży męskiej, nie daje wskazówek, jak postępować z chłopcem, by w duszy jego ideał czystości wyrzeźbić mocnymi liniami.

Natomiast drugi korespondent nasz, *Dr. St. Roztworowski*, szef sztabu 14 D. p. poznańskiej, największy nacisk właśnie kładzie na tę stronę zagadnienia.

Jako ojcu kilku synów, kwestja ta narzucała mu się nieraz i była tematem jego rozważań. Doszedł on do wniosków, które postaramy się oddać w streszczeniu możliwie najdokładniejszym.

A więc przede wszystkim p. R. twierdzi, że metoda ochrania synów od złych wpływów nie da nigdy wyników dodatnich. Doświadczenie uczy, że t. zw. „mamin synek”—to doskonały materiał na hulakę, byleby tylko wydobył się raz z pod matczynej pieczy. „Syna nie można trzymać pod kluczem”—pisze p. R. „Znajdzie się zawsze i to znacznie wcześniej, niż naiwna matka sądzi, jakiś kolega, jakaś książka, czy jakaś syrena, która nauczy chłopca, jak można życia użyć i nadużyć”.

Jakiż więc sposób?

Zdaniem pułkownika *Roztworowskiego* „synów należy chować twardo”, nie rozpieszczać, bo przy-

zwyczajony do pieszczoty chłopak, szukać jej będzie i w późniejszym życiu, tylko już nie u matki... Trzeba wyrabiać w chłopcach wolę, charakter i poczucie moralne, zakreślając ostre granice między dobrem i złem.

Tę granicę, zdaniem dr. Roztworowskiego, w sumieniu człowieka utrwalić może tylko wychowanie religijne. „Nie wszystkim może czytelniczkom ta zasada podoba się”—dodaje nasz korespondent — „ale żadna z nich zaprzeczyć nie może, że innego, równie skutecznego i powszechnego, środka dla etycznego życia, jak religijność, dotąd nie wynaleziono”.

Przytem religijność, wszczepiana synom, ma być oparta „nie na sentymencie”. Ma ona im dać pojęcie niewzruszone „dobra i zła, cnoty i grzechu, pokuty i odkupienia, musi im dać ten regulamin wewnętrzny, który jest podstawą wychowania ludzi, przeznaczonych nie do biernej obrony, lecz do czynnej walki”.

Dawszy im ten „regulamin wewnętrzny”, przygotowywać ich trzeba nie do biernej obrony, nie do unikania złego, lecz do walki „ze sobą samym, ze złym kolegą i ze złą niewiastą” i wszczepić w nich przeświadczenie, że „tę walkę stoczyć muszą zwycięsko”.

Jest to niewątpliwie niesłychanie prostolinijne, prawdziwie żołnierskie ujęcie sprawy.

Pamiętać trzeba jednak, że w wychowaniu musi być tyle metod, ile typów ludzkich, ile indywidualności odmiennych.

Inaczej chować trzeba dziecko o cechach wybitnego intelektualisty, inaczej—zmysłowca, inaczej—naturę czynną i ekspansywną, jeszcze inaczej—wrażliwego uczuciowca, a już całkiem odmiennie—obciążonego smutnymi dziedziczościami, degenerata. Stosunek każdego z tych typów do interesującego nas zagadnienia będzie inny i inne też powinny być drogi, po których prowadzi go wychowawca. Szkoła, niestety, nie może indywidualizować, ale dom może i powinien.

Poza główną swą zasadą religijnego i twardego wychowania, jakby dodatkowo, zaleca pł. K. Roztworowski wpajanie w młodzież męską rycerskiej czci dla kobiety wogóle. Zdaniem jego, ani koleżeństwo w szko-

le, czy w urzędzie, czy innem miejscu pracy, ani dążność kobiet do równouprawnienia, tych rycerskich uczuć nie wyłącza i usuwać ich nie powinno.

O sportach, jako czynniku, przeciwdziałającym rozpuście młodzieży, wyraża się korespondent nasz dość sceptycznie. „O ile sport wyrabia siłę woli, męstwo, odwagę, rycerskość i gentelmeństwo — to zgoda! jeżeli kształcić ma tylko mięśnie i uznanie dla siły fizycznej, to zwiększy tylko w młodzieńcu poszum krwi, tem trudniejszy potem do opanowania”.

Tu niewątpliwie zwolennicy sportu podniosą silne zastrzeżenia.

Pomieściliśmy refleksje i wnioski naszych łaskawych korespondentów. Wyznać, jednak, musimy, że sprawa jest i groźniejsza i bardziej skomplikowana, niż się im wydaje. Dla zwalczania zła, z którym ludzkość boryka się od tysięcy lat, trzeba by i radykalnej zmiany obyczaju i zmiany prawodawstwa.

Trzeba doprowadzić do tego, by w opinii ogółu człowiek, który kupuje miłość, traktowany był narówni z człowiekiem, który miłość sprzedaje, tak, jak za łapownictwo karany jest nie tylko ten, który bierze, ale i ten, który daje pieniądze. Trzeba, by w tych sprawach nie miało miejsca żadne uprzywilejowanie mężczyzny. Jeżeli, np. podlega przymusowej kontroli sanitarnej prostytutka to powinien przymusowi temu podlegać i mężczyzna, uczęszczający do domu schadzek. Niewątpliwie, nie jeden zawahałby się wtedy przed kompromitacją. Gdy dziś, np. policja kobieca spotyka w domu schadzek nauczyciela gimnazjum i małoletniego ucznia tegoż gimnazjum, to ci obydwaj panowie idą spokojnie do domów, choć czyn przestępczy ze strony nauczyciela tu był niewątpliwie.

Te wszystkie anomalje trzeba znieść, najpierw usunąwszy im grunt z pod nóg w umysłach i sumieniach uczonych i rozumnych ludzi, a potem z życia je wygnać precz!

W ideale czystości trzeba rozkochać młodzież, cnotę czystości, jako otwierającą drogi do wyższego rozwoju duchowego, stawiając na czele wszystkich cnót indywidualnych i społecznych.

H. C.

DR. M. KASTERSKA

KSIĄŻKI KOBIECE I KSIĄŻKI O KOBIECIE

Jest ich wiele i najróżnorodniejszych, a do najciekawszych może należą te, które są rodzajem studjum psychologiczno-historycznego. Wśród tych ostatnich wymienić trzeba na pierwszym miejscu „Kobietę rosyjską” Waliszewskiego i „Kobiety w życiu Balzaka”, pani Juanity Helm Lloyd w tłumaczeniu księżny Katarzyny Radziwiłłowej. Rzecz oczywista,

większa część drugiej z owych książek poświęcona jest pani Hańskiej, nieśmiertelnej Ewie Hańskiej, o której napisano już tyle książek i dokoła której toczy się stale we Francji tyle sporów literackich. Dla jednej połowy krytyków i historyków Balzaka, Ewa Hańska jest muzą wielkiego pisarza, idealną towarzyszką duchową, oddaną przyjaciółką i opiekunką jego

ostatnich lat życia, oraz stróżem jego pośmiertnej sławy. Dla drugiej połowy krytyków i historyków pani Hańska to potwór, dla którego, mówiąc stylem Słowackiego, „i piekła nawet mało“, która bawiła się wielką miłością sławnego pisarza, niby eleganckim wachlarzem, rozłączyła go z jego rodziną, była przyczyną jego śmierci etc. etc. Słowem, przekłeta cudzoziemka, lub błogosławiona cudzoziemka. Wśród tych zapalonych mniej, lub więcej dyskusyj słyszeć się daje od czasu do czasu, wbrew przysłowiu „tertium non datur“, głos zdrowego rozsądku, jak np. artykuł Jerzego Le Cardonnel w „Le Journal“, w którym autor dowodzi, że Ewa Hańska, bez pasowania ją na anioła, zasługuje na wdzięczność i dobre wspomnienie literatów francuskich. Była, bowiem, oddanym i dobrym druhem wielkiego powieściopisarza przez lat kilkanaście, a jeżeli przytem spełniała swe obowiązki rodzinne, trudno jej mieć to za złe. Co do pewnych „tarć“ duchowych, jakie zachodziły pomiędzy Ewą Hańską, a Balzakiem, mają one miejsce nawet w najlepszych małżeństwach ludzi tej samej narodowości i tej samej kasty; co zaś do krótkich dni ich pożycia wspólnego, oboje byli wówczas chorzy i wytrąceni ze zwykłej równowagi moralnej, niepodobna więc sądzić z tego, czem mogłoby właściwie być owo pożycie. Jerzy Le Cardonnel robi sumienny przegląd źródeł, z których zaczęto czerpać zarzuty przeciw Ewie Hańskiej. Widzi je pierwotnie tylko dwa: świadectwo Victor’a Hugo, który nie zastał pani Hańskiej w pokoju męża, gdy przyszedł odwiedzić go na krótko przed śmiercią, i świadectwo Oktawjusza Mirbeau, oparte, jakoby, na zwierzeniach malarza Gigoux o jego stosunku z panią Hańską. Le Cardonnel zauważa wcale trafnie, że Victor Hugo, przy całej swej wielkości, nie może być miarodajnym, gdyż oboje niecierpieli się z panią Hańską i mogła ona poprostu nie pragnąć spotkania się z nim. Gigoux wydaje mu się dotkniętym manją samochwalstwa, wcale zresztą niezaszczytną.

Rzecz ciekawa: Francuzi tu mają rys wspólny z Polakami, łatwo uprzedzają się do wybitnych kobiet, zwłaszcza, gdy są cudzoziemkami. Ileż kałamarzy atramentu i oburzenia wyleli pisarze polscy na głowę Georges Sand za Szopena, nie uznając żadnych okoliczności łagodzących. Jak długo historia i opinia publiczna pastwiły się nad królową Boną i Marią Ludwiką Gonzagą, które w świetle najnowszych badań i historycznych dokumentów ukazują się, jako mądre monarchinie o silnym charakterze, oraz oddane i uczciwe żony i matki. Tylko bardzo przeciętne jednostki nie mają wrogów w życiu i w literaturze.

W autorce „Kobiet w życiu Balzaka“ pani Hańska znalazła

rozumnego obrońcę, a notatki księżny Katarzyny Radziwiłłowej tchną już prawdziwym pietyzmem, łatwo zrozumiałym, zresztą, u ukochanej synowicy pani Hańskiej. Dużo tu też ciekawych cytat i listów pani Hańskiej, oraz prześliczny jej portret, wręcz niepodobny do rozpowszechnionego wizerunku muzy Balzaka, gdzie widzi się zawsze kobietę dość otyłą, z twarzą zimną i wyniosłą. Tu, przeciwnie, patrzy na nas młoda, uroczą kobietę o żywych, śmiejących się oczach, ślicznie zarysowanych ustach i bardzo pięknych rękach. Nic z klasycznej piękności, ale tyle wdzięku, uroku i życia, że rozumie się doskonale entuzjazm Balzaka.

Książka zawiera również życiorysy wszystkich prawie kobiet, które odegrały jakąś rolę w życiu Balzaka. A było ich wiele, bardzo wiele, bo wielki pisarz należał do ludzi kochliwych i, mimo swych zapewnień o wierności dla pani de Berny i dla Ewy Hańskiej, mógł być zastosować do siebie słowa piosenki francuskiej z XVIII-go wieku:

„Toujours aimer, souvent changer“.

(Zawsze kochać, często zmieniać).

Podobny do Słowackiego i do wielu wielkich ludzi, Balzak potrzebował stale kobiecych „podpórki“. Podpórki te mają w większości wypadków dość smutny los, bo gdy się je porzuca, przypisuje im się tyle win, ile przedtem przypisywało im się zalet; ale nie taki djabeł czarny, jak go malują, i z pod tworów wyobraźni literackiej historycy i biografowie wydobywają na światło prawdziwe, ludzkie postacie. Ni ange, ni bête, poprostu człowiek. Zresztą należy przyznać, że w ostatnich czasach kobiety-literatki najzupełniej dorównały swym braciom po piórze pod tym względem.

Autorka książki o kobietach Balzaka zapatruje się na rzeczy pogodniej, niż pan Waliszewski w swym studjum o kobiecie rosyjskiej, oczywiście, o kobiecie starego ustroju, bo niema tu mowy o kobiecie Rosji bolszewickiej. Zdaniem pana Waliszewskiego, kobieta rosyjska była pierwotnie energiczna, przedsiębiorcza i mężna. Jako przykład takich kobiet, cytuje pierwszą panującą rosyjską, Olgę, żonę Igora. Ale przychodzi najazd tatarski, kobieta traci swoje wpływy i swą rolę w społeczeństwie. Zamknięta w tieremie, owem rosyjskiem

gineceum, powoli zmienia się w istotę bierną, pozbawioną woli i inicjatywy. Rzadkie wyjątki, jak Marfa Borecka z Nowgorodu Wielkiego, lub Teodozja Morozow, słynna obrończelka starowierów rosyjskich, okazują dużo charakteru i woli. Ogół pozostaje w uśpieniu nawet za reformatorskich rządów Piotra Wielkiego. Powoli, jednak, pod panowaniem paru rządów cesarszowych — Katarzyna I, Anna Iwanowna, Elżbieta i Katarzyna II.



£.

ß.

kobieta rosyjska budzi się z wiekowego odrętwienia. Księżna Daszków, pierwsze zakłady dla szlacheckich pań, to dopiero słabe symptomy owego przebudzenia, które w czasach romantyzmu wyrazi się w typie damy z „die blaue Blume“, pozującej na wieczną niezrozumianą, albo sentymentalnej Puszkiniowskiej Tatjanę. Jednak okres ten nie potrwa długo, i wkrótce potem ujrzymy kobietę rosyjską w gronie rewolucjonistów, w uniwersytecie, biorącą udział w życiu społecznym. Obok Wiery Zasulicz, Zofji Perowskiej i innych, im podobnych, staną kobiety uczone, lub literatki, jak Zofja Kowalewska, słynna matematyczka, Marie Baszkircew i wiele, wiele innych. Ale w życiu wszystkich tych kobiet uderza dziwny brak logiki i jakiegoś „porządku“ duchowego i umysłowego. Chaos straszliwy w całym życiu mądrej matematyczki, chaos jeszcze gorszy w życiu Marii Baszkircew. Nie przyświeca im żaden ideał rodziny, czy miłości ofiarnej, są sługami własnego egoizmu, bardzo ładnego i ciekawego, ale bardzo bezużytecznego. Są to kobiety, o których z przyjemnością się czyta, które można podziwiać, jako bardzo oryginalne okazy ludzkości, lecz lepiej jest w życiu realnym być od nich zdaleka.

Nie przeszkadza to jednak skonstatowaniu, że Waliszewski ma chwilami duże „parti pris“, t. j. przystępuje do rzeczy już mocno uprzedzony, nie jako Polak, lecz jako obrońca konserwatyzmu bardzo mądrego i, — powiedzmy prawdę — w wielu razach słusznego. Opowiada on między innymi dość ciekawą, autentyczną anegdotę o pewnej damie rosyjskiej, która, najpierw wydana staraniem rodziny za starego, chorego jegomościa, pielęgnuje go troskliwie i z zupełnym poświęceniem się przez lat kilka. Po śmierci pierwszego małżonka młoda, bogata wdowa zaślubia pięknego oficera, który umiera po roku małżeństwa. Dama jest zrozpaczona. Ubiera się czarno, nosi przy sobie pamiątki po zmarłym małżonku, a na noc każe ustawiać nad swoim łóżkiem rodzaj baldachimu czarnego, na którym spoczywają krawaty, spinki, mankiety etc. etc. nieboszczyka.

Ponieważ wszystko na świecie ma swój koniec, więc kończy się i żałoba damy. Nowe małżeństwo, bardzo dobrane, bardzo szczęśliwe tym razem, dwoje dzieci. Ale oto katastrofa bolszewicka. Mąż uwięziony unika śmierci i wydobywa się z więzienia tylko dzięki nadludzkim wysiłkom żony. Oboje dostają się do Paryża, gdzie zakładają małą, skromną restaurację rosyjską, jedną z tych, których tak wiele spotyka się obecnie w Paryżu. Idzie im nieźle, ale po kilku miesiącach dama ucieka z bogatym rodakiem, nie troszcząc się więcej ani o męża, ani o dzieci. Zapewne, że ten sposób rozstrzygnięcia problemu życiowego jest bardzo „moderne“, choć stary, jak świat; zapewne, że nie można go nazwać pięknym, ani eleganckim, lecz nie odnosi on się specjalnie do żadnej epoki. Zresztą charakter rosyjski będzie zawsze razić w pewnym stopniu wychowanego na łacińskiej kulturze Polaka

swą oryginalnością, posuniętą do przesady, a zarazem — pociągając go też oryginalnością, nieraz bardzo odrębną. Jakkolwiekby było, książka p. Waliszewskiego jest bezsprzecznie ciekawa i ładna, można ją przeczytać z zajęciem i nawet powrócić do niej z przyjemnością.

Skoro mowa o Rosji i o kobiecie rosyjskiej w literaturze francuskiej, rzućmy również okiem na ostatnią powieść p. Etienne Burnet: „Wrota Zbawiciela“ (słynne wrota Zbawiciela w Kremlu moskiewskim), tembardziej, że powieść ta dosyć nieprzyjaźnie porusza sprawy polskie obok rosyjskich. Bohaterka powieści, młoda dziewczyna, znalazła się we Francji, podczas rewolucji bolszewickiej i zdobyła tam sobie skromny kawałek chleba. Ale tęskno jej za krajem, za ojcem, starym uczonym, który pozostał sam w Moskwie i przystosował się do nowych warunków życia. I Liza decyduje się wrócić do ojczyzny. Droga, oczywiście, leży przez Polskę, którą Liza, jako Rosjanka starego systemu, uważa za część Rosji, wydartą jej przez Polaków. Cokolwiek jest dobrego w Warszawie, pozostawili to Rosjanie. Następuje wybuch rozpacz i oburzenia z powodu soboru na Saskim placu, tego arcydzieła sztuki i smaku rosyjskiego, a o którym jeden ze znanych publicystów rosyjskich wyraził się przed wojną w następujący sposób: „Jest to ogromna budowla w stylu, który nadaje się równie dobrze dla Warszawy, jak dla Paryża, lub dla Chiwy, Buchar i Afganistanu, ponieważ nie nadaje się nigdzie“.

Liza, przedstawiająca starą Rosję, nie może, naturalnie, żyć się z nową, choć ma potemu, jak nas zapewnia autor, najlepsze chęci. Póki żyje jej ojciec, wszystko układa się jako tako, lecz po śmierci ojca Liza czuje się coraz bardziej obcą. Wreszcie przyczyna wszystkich nieszczęść Rosji ukazuje jej się niejako usymbolizowana w postaci prokuratora sądu, żyda, który sędzi Rosjan. Przecistawienie dwóch wrogich żywiołów — autor jest antysemitą — porażka Lizy, która umiera w śniegach Sybiru.

P. Burnet zna, podobno, Rosję, i ma żonę Rosjankę. Przydałoby mu się poznać trochę Polskę i jej historię.

Kobietę-ofiarę, ale tym razem dobrowolną i świadomą, maluje nam również pani Marie - Madeleine Socycye, autorka belgijsko-francuska, w nagrodzonej prix Renaissance d'Occident powieści „Electe“. Młoda dziewczyna, pragnąca oderwać się od życia i poświęcić Bogu, walczy sama z sobą, podzielona między dwoma uczuciami: mistycznym i ziemskim. Wie, że pierwsze jest prawdziwe i głębokie, ale z drugim miesza się jedno z najpotężniejszych uczuć kobiecych: litość nad cudzem cierpieniem. I w tej niezwykłej w naszej epoce walce czysto duchowej, Electa znajduje tylko jedno wyjście: oto modli się, aby ukochany przez nią człowiek przestał ją kochać i, za cenę jej cierpienia i upokorzenia, znalazł spokój. Bernanos, słynny autor „Pod słońcem szatana“, ma słuszną rację, gdy każe bohaterowi swemu patrzeć z pobłaż-

liwym uśmiechem na owe dawne cielesne umartwienia i biczowanie się. Można biczować duszę gorzej i boleśniej, niż ciało. Prośba Electy będzie spełniona, odejdzie od niej ukochany człowiek szczęśliwy i spokojny. Pozostanie sama z Bogiem i z cierpieniem.

Boleści chrześcijańskiej, równie potrzebnej duszy, jak chleb i woda ciału, przeciwstawić można nawpół pogańską boleść, niesioną bez poddania i bez nadziei. Taki ból zatruł duszę młodej metyski, której losy opowiada nam znana czytelnikom „Bluszczu” powieściopisarka, pani Chivas-Baron, w swojej ostatniej książce: „Confidences d'une métisse”. Córka wysokiego urzędnika francuskiego i Annamitki powoli dowiaduje się, jako dziecko jeszcze, o swoim smutnym losie. Jest metyską, a więc czemś obcem i Francuzom i Annamitom, czemś pośredniem pomiędzy Azją, a Europą. Europa jej nie chce, Azja ją odrzuca, i mogłaby, jak wędrowiec szyllerowski, pytać: „gdzie jest mój

dom”? Nieszczęśliwa, samotna mści się za swoją nędzę życiową na wszystkich, których uważa za jej sprawców, ale i w zemście nie znajduje żadnej pociechy. Znużona życiem pustem i smutnem, którego nie może zapełnić sztuka, młoda kobieta umiera z nieokreśloną nadzieją, że może gdzieś poza światem stanie się rzeczywistością to, o czym marzyła przez całe życie: sprawiedliwość!...

Wreszcie, w bardzo stylowej powieści: „Ogień na wałach” pani Yvonne Schultz kreśli na tle starożytnych murów Carcassanu piękną sylwetkę kobiety-tygrysicy, kobiety-zdobycy per fas et nefas, nie liczącej się z żadnymi skrupułami, nie krępującej się żadnymi prawami Boskimi, ani ludzkimi. „Quo non ascendam” jest jej dumnym godłem, i wśród starych legend i wież Carcassanu wygląda owa Brunhilda wistocie, jak jakaś dawna królowa Wizygotów, zabłąkana w XX-tym wieku.



C. WALEWSKA.

PRZEZ OKNA I DRZWI OTWARTE DO DUSZ WIELKICH LUDZI

Książka Żeromskiego o synu *), wydana przed paroma miesiącami, nie przestaje być przedmiotem rozpraw na temat: „wolno ją było rzucić w świat, czy nie?” Wydrukowanie jej za życia autora w 50 egzemplarzach zaledwie dla rozdania li tylko przyjaciółom i kolegom zmarłego „synaczka” świadczyłoby, że zboleły ojciec nie chciał dzielić się męką swoją z ogółem ludzi obojętnych, obcych i zamknął rozpacz w sobie, a tylko tym, co kochali Adasia, postanowił złożyć w podzięce wspomnienie o nim. Więc — należało uszanować skrytą wolę. Ale — wtedy przepadałaby jedna z najpiękniejszych prac genialnego pisarza — potężny w swej prostocie i grozie poemat żalu, skargi, żałoby. Jeremjaszowy bunt przeciw strasznym wyrokom i pokora zmartwiałego serca w przyjęciu ślepego ciosu. Książka została wydana nie dla zysku. Dochód przeznaczono na fundusz uczczenia pamięci Żeromskiego. Kierowała tymi, co rozporządzali spuścizną po tytanie słowa i myśli, niewątpliwie wola nie pozabawiania narodu jednego z arcydzieł Mistrza, perły najczystszych, najszlachetniejszych uczuć, które są, jak łza na sarkofagu wygasłych nadziei.

Nie można nie rozgrzeszyć tych ludzi dobrej woli. Przebaczyłby im sam Żeromski.

Ale — są względem „lkarów” przewiny niewybaczalne. Przypomina je każda dyskusja w rodzaju tych, jakie budzi książka o „złotym skaucie Adasiu”.

Na kilka lat przed wojną ogłosiły dzienniki paryskie rzekome listy miłosne wielkiej uczonej współczesnej, fantazując na temat ich w sposób najbezczelniejszy. Setkami tysięcy rozrzucano po bulwarach ową naprędce zbroszowaną korespondencję. Nie było kokoty, łobuza, fanfaronu ulicznego, któryby nie przyznał sobie prawa dorywczego sądu nad królewską dostojniczką wiedzą.

Umilkły bajdy potworne, gdy znalazło się sto innych sensacyj. Ale ciężką, omal nie śmiertelną chorobą przypłaciła uczona sarabandę naganki — dla krzyku na bulwarach i — dla napchania kieszeni autorów plotki.

*) Stefan Żeromski „O Adamie Żeromskim”. Warszawa. Wydawnictwo Morkowicza.

* * *

Z bezwzględem okrucieństwem przywłaszcza sobie ogół prawo wdzierania się w tajniki życia ludzi „na świecznikach”. Odrąbuje się mury ich domów, rozsuwa na ścieżaj wrzeciądze mieszkań, żeby nie uszedł gest żaden, żadne spojrzenie bezwolnego jeńca.

Nie ma nic swojego wielki poeta, wielki uczony, wielki artysta. Łakome, chciwe spojrzenia przepalają mu piersi, przewiercają trzewia. Przyjaciół, czy wróg, czając się, wydiera mu z mózgu te strzępy myśli, które chciał zostawić dla siebie samego — na zmierzchni swoich. Zuchwała, czy błogosławiąca ręka wyprowadza mu serce i ciska żerującej gawiedzi.

Nie ma nic swojego. Za to, że, jak pył miodny, zebrał z karlich pól i rozłogów, co tylko w jego sadach mogło zakwitnąć, że stał się zbiornikiem tych wszystkich zduszonych porywów, które czekały na jego piersi orlą, by wchłonęła je w siebie; że w soczewce żrenic swoich skupił blaski prawd, które może miał w sobie ktoś z gromady, ale nie wiedział o nich; że umocnił w sobie siłę człowieczego prometeizmu; że — jak Parsifal, wyrósłszy z tłumu, opanował jego zsumowaną wolę i z gwiazdą pomazańca stanął przed tajemnicą świętego Grala; za to, że coś winien każdemu, każdy ma prawo do niego.

Za życia otworzono ściany domu jego, obcowano go, sprazono pociskami drapieżnej ciekawości. Po śmierci...

Muzea wielkich ludzi..

Im wyższa kultura, tem gorliwszy pietyzm w zbieraniu pamiątek.

Ze łąką w oku stajemy przed butem geniusza, który za życia chodził bez butów. Chustka do nosa, fajka z cybuchem, strzępek pożółkłego papieru... Jakby coś żywego gadało do nas, coś, co bierze za kark i ciska na kolana...

Odprawia egzekwje burżuj, snob, filister, który raz, dwa razy w życiu miał swoje „orle” chwile. Skupia się i kłania nisko, nie wiedząc, że siebie czci w pamięci wielkich zmarłych—swoje własne omdlałe porywy, złamane loty, zatracone drogi...

Ta wspólność, to branie i dawanie, ten akt wzajemnej przynależności stał się sankcją dla otwierania grobów tak samo, jak—za życia—dla otwierania okien i drzwi ludzi — geniuszy.

Przyczajona u progu mauzoleów ciekawość bez pardonu rozbija urny i grzebie w popiołach.

Co jadł? Jak się ubierał? W kim się kochał wielki zmarły?

Tańczą swój „danse macabre” szkielety. Fanfara na wiwat, jeżeli z trumny wstaje sensacja. Balzac —

Hańska, Georges Sand i Majorka z Szopenem, jakiś zmierzchowy wieczór z Musset'em i nieskończona lista wielkich, małych, sławnych i bezgłosnych kochanków.

Wiwisekcja na szczytach, autopsja po zawaleniu się złotej drabiny chwały.

* *

Przypominają się „Listy” Żmichowskiej.

„Co autor drukuje, lub do druku przeznaczą, to się bez zaprzeczenia publiczności należy, lecz — co, jako człowiek, dla siebie i swoich najbliższych zachowuje, do tego nikt nie ma prawa” — pisze do brata swego Henryka.

A jednak—wydrukowano całą jej korespondencję. I to, co górną myślą, szerokim poglądem na świat, gorącą pobudką do czynu, hasłem miłości mogło dźwignąć naród i — blahe karteczki ulotne, słane do kochających, zacnych, ale nie orlich dusz, ku którym zniżała prężne swe loty.

Gorycz zalałaby to „cierpliwie wołające, ciche, a jednak odważne w prawdziwości swojej serce”, gdyby wiedziało, że oddano je pod skalpel publiczny.

Więc niszczyć korespondencję wielkich zmarłych?

Tak nakazywałaby etyka względem nich samych.

Jednak...

Są listy, często umyślnie, świadomie na rozgłos pozagrobowy obrachowane. Słowacki, Krasiński, Schleiermacher, Goethe, Schiller, Liszt. Z najnowszych Rivière, Claudel... To już bezwzględna własność wszystkich.

Kto, jak Żmichowska, pisał do przyjaciół, nie dla sławy pośmiertnej, ale z nieprzepartej potrzeby zgromadzenia dokoła siebie, „łączenia w jedno braterstwo rodzinne” conajlepsze żywioły, choćby nie promieniały gwiazdami talentów; kto przez tę wielką rozlewność uczucia, ceniąc więcej „godzinę miłej rozmowy, niż całe dnie natchnień”, przystosował się myślą do uboższych duchem, aby tylko nie stracić nikogo z szeregu „ogromadzonej rodziny”, ten ma prawo ująć z pod noży autopsji.

Mądry, dobrej woli badacz — przy odtwarzaniu człowieka z jego dorywczych listownych powiedzeń, w każdym napozór nic nie znaczącem, słowie może znaleźć klucz do jakiejś treści wewnętrznej. Przeciętny czytelnik, spojrzawszy na szare kartki, powie: „szara dusza” i odrzuci precz książkę, z której trzeba umieć wyławiać błyski złotych myśli.

Listy, pamiątki wielkich ludzi należą do tłumu o tyle, o ile rwą go wzwyż intelektualnie i etycznie. I—o ile nie pomniejszają olbrzymów. Wszystko inne niech spoczywa w muzeach dla zawodowych rozumnych badaczy.

Ukróci to sarabandę puste, bezmyślnej ciekawości, zmniejszy ilościowo wypadki autopsji, jakościowo — podniesie jej wyniki.



JULJUSZ WIRSKI

Z CYKLU „PRYMITYWY“

Będą uciekać dale, będą się gwiazdy zmieniać,
Szkarłatne gasnąć zmierzchy, zorzane płonąć drżenia.

Na wszystkich drogach świata będą się działy dziwy,
Na wszystkich drogach prostych i tych, co idą krzywo...

Daremnie oczy spłoną błagalnym żarem smutku;
Odchodzą rzeczy znane, zmierzchają wdal — cichutko...

W splątaniu dróg wciąż nowych i dróg powrotnie śnionych
Będą umierać dale i więdnąć bez obrony.

II

Poco się gwiazdom żarzyć, poco się srebrzyć pełniom:
Żadne pościgi lotne zadania nie wypełnią!...

Wszakże to była tylko podróżna z tamtych lądów, —
Ocean ją unosi, a równik w twarz spogląda.

Pręży się szare miasto, tysiącem krzyczy ulic,
A w światów bezprzytułku jakaż ją moc utuli?..

Kędyż się skryła dziewczka, czy w jakie poszła noce,
Skoro ją gońcy moi doścignąć nie są w mocy?!

III

Na wszystkich drogach świata dziwne się dzieją dziwy:
Na wszystkich drogach prostych i tych, co idą krzywo...

Od rana do wieczora i znów do rannej zorzy
Pościgi me serdeczne ścigają dziewczkę bożą.

Lecz próżno płoną oczy błagalnym żarem smutku:
Przyszła, jak sen, na palcach i zmierzchła wdal cichutko...



ŚWIĘTA PROWINCJA

w tłumaczeniu M. Znalowicz-Szczepańskiej

W dniu, o którym mowa, zamknął on wcześniej swój sklep, umieścił pod łóżkiem pułapkę, gdyż bał się myszy, a miał nad głową strych, pełen drogiego zboża, i przez drzwi porozmawiał z żoną, sypiał bowiem sam, nie znosząc nikogo obok siebie w pokoju, bo mu było duszno. Spojrzał na gałąź winną, zwieszającą się nad łóżkiem, i zeschłe grona przypomniały mu winnicę, którą kochał ponad wszystko. Wreszcie ułożył się do snu, ale zaledwie zmrugał oczy, dało się słyszeć stukanie do bramy. Porwał się, zdumiony, z posłania, przypominał sobie obcego popa i ścierpł cały z przerażenia. Tymczasem nadole słyszeć było głos sługi, i nagle wybuchł krzyk i płacz pani domu. Makso skoczył otwierać bramę. Zobaczył swoją córkę z rozplecionymi i wzburzonemi włosami, w rannych pantoflach, nawpół naga, z szalem, narzucenym na odkryte ramiona, z jakąś płachtą, ściągniętą z łóżka, na plecach. Oczy Maksy rozszerzyły się: zrozumiał... Chwycił ją za głowę i zaczął kłąć...

Dusił się... Za panią Miłą stał z latarnią w ręku jeden z policjantów pana Pantaleona, bez czapki, zęgnął się i mruczał jedno wkółko: „Oj, proszę pani, oj, proszę pani!...” Ojciec westchnął — „o Boże!” — i gorzko, gorzko zapłakał...

* * *

Pan Pantaleon Popicz, burmistrz miasteczka X, rozstał się ze swą ślubną żoną i wziął komedjantkę. Cyrulik puścił mu krew, ale on leżał jeszcze kilka dni chory, blady, aż zielonawy wśród poduszek. Dźwigało go z łóżka dwóch olbrzymich posterunkowych. Aktorzy prosili i wystawiali rozpaczliwie pod jego drzwiami, ale napróżno. Pan burmistrz kazał w sekrecie obić komisarza. Przez czas jakiś całe miasto mówiło o tem, ale i to przeszło, jak wszystko na świecie. Służące wołały nową panią, a tamtą, wygnaną, nazywały „starą”.

Pan Pantaleon leżał sobie całymi dniami na poduszkach, a nowa pani dogadzała mu, pieściła go cicho i stawiała przy oknie, pogrążona w zadumie. Mówili, że chorował na serce. Pani stawiała często przy oknie. Z dalekich pól podnosiła się czerwona mgła, szły surowe powiewy, a on, żółty i blady, patrzył z uniesieniem w dym swego papierosa. Nie żądał niczego, ale, gdy Helena podeszła, rzucał papierosa i obejmował ją jakimś nieprzytomnym, strasznym uściskiem. Wielka, jak się zdaje, była różnica między tą, a dawną panią. Nocą, gdy burmistrz leżał rozbudzony, w gorączce, która go męczyła od tamtej strasznej, posępnej chwili, ona przychodziła, siadała na jego łóżku

i zaczęli się obejmować, całować, dusić w pieszczotach. Wielka chyba była różnica między tą, a tamtą panią. Wreszcie jednak zlekła się pani Helena ogarniającej ją coraz bardziej nudy i zaczęła mówić burmistrzowi o swojej miłości i poświęceniu i coraz bardziej zajmować go sobą. W dzień upiększała niezmordowane swoje pokoje, kupowała moc bielizny i koronek, przyjmowała gości, a burmistrza nigdy już nie nazywała, jak dawniej, „mój pantofel”, ani „mój Panto”, tylko zawsze „mój mąż”.

Przechodził długi szereg męczących poranków tej gorącej wiosny, a oni budzili się zawsze jednakowo: on — z nową pasją do papierosa, ona — z dalszym ciągiem opowiadań o Szwajcarii, o swoich rolach, o swojej córeczce, która wcześniej umarła, i o pewnej posiadłości, którą pragnęłaby kupić. Pan Pantaleon nie mógł przyjść do siebie. Leżał i leżał, milczący, nie widząc nikogo. Wreszcie zląkł się, że umrze. Dla rozerwania myśli zaczął się uczyć po węgiersku, ale jednocześnie dumał często o mogile, wśród kwiatów, o cichej mogile, w której zapomni o komisarzach, hulankach i kobietach. Ona coraz dłużej siadywała wieczorami koło niego i całowała go, obserwując ze zdziwieniem zaszłą w nim zmianę. I coraz bardziej starała się go w sobie rozkochar. Mordowała go, by się z nią ożenił. A on jakoś wyszlachetniał, przycichł, stał się takim, jakim był niegdyś, w młodości. Całymi dniami uważał, by stary kot domowy nie zrzucił z okna doniczki z kwiatami. Siedział żółty, blady, ona śpiewała mu wesoło swoje role, tańczyła, a on nieustannie ochraniał prawą ręką wazon z kwiatami.

Pewnego dnia Helena przybiegła roześmiana i rozśpiewana i szepnęła mu coś do ucha. Przybrała teraz wygląd młodej matki: figurę nieco pochyloną, łzawe spojrzenie... Nos jej się przydłużył, chód ociężał, śmiech i łzy były na poczekaniu. Ciało jej stało się piękne, wyszlachetniało i rozpremieniło się w tej ostatniej fazie swego szczęścia i natchnienia, a dusza obejmowała świat cały, raz we łzach, to znów w śmiechu tonąca. Spróbowała pogodzić się z „tamtą”, ale Makso Szepicz „Kürschner” wypędził ją z domu miotłą. Miłość jej była śmieszna i bolesna, gorzka, straszna, pełna słodczy i gniewu, wstydu i sromoty.

Pewnego rana pan Pantaleon poczuł się lepiej. Wstał i doskonale obszedł stół dokoła. Włożył niebieskie, zaprasowane spodnie i zeszedł na dół, na kawę.

Słyszał przez ścianę miękkie, ciężkie kroki żony. Przybiegła, gdy osłabiony schodził powoli. Na stole leżały białe, błyszczące klucze, jakiś woreczek i jej

małeńka, pachnąca chusteczka koronkowa. Powąchał tę szmatkę, odsunął pieniądze i wziął klucze. Odchodząc, zawołała nań zcicha: „idź do jadalni, przyniosę tylko sucharki“. Pan Pantaleon zeszedł powoli i zbliżył się do stołu.

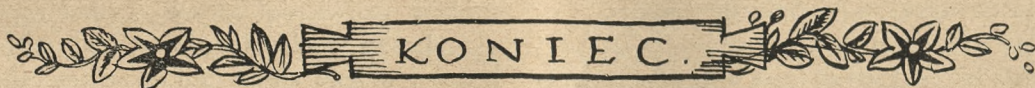
W wielkim, szerokim fotelu piętrzyły się ponarzucane dla niego brzuchate poduszki. Wśród mnóstwa białych talerzyków, pełnych obierzyn i owoców, błyszczała pośrodku stołu ogromna srebrna cukiernica. Burmistrz usiadł zmęczony.

Pan Pantaleon Popicz, burmistrz miasteczka X, przewany „Mrukiem“, wrzucił do kawy pięć kawałków cukru. Siedział sam w pokoju, z miną marsową, jak przystało na urzędnika cesarskiego. Słowo „cesarski“ wymawiało się bardzo cicho, a słowo „urzędnik“

głośno, bardzo głośno. Spojrzenie jego żółtawych, mętnych oczu obiegało pokój i spoczęło na dachach, z których, pod wpływem wiosennego słońca, ściekał śnieg. Przyciągnął powoli pudełko z papierosami i cicho zamruczał: „co tam, trąba!...“ Wziął cukiernicę, wstał i zamknął ją w kredensie, a błyszczące klucze wpuścił do kieszeni. W tej chwili wchodziła właśnie do pokoju pani Helena, cała w białych koronkach, z najśłodszy uśmiechem na ustach, a dziecięciem w łonie i niosła biały chleb, uśmiechnięta i szczęśliwa.

— Czy pamiętasz dzień, w którym zapragnęłam być twoją żoną?

Pan Pantaleon wrzucił pięć kawałków cukru do swojej filiżanki. Obok na stole leżała jedna biała kostka, przeznaczona dla pani Heleny przez jej męża.



HELENA CEYSINGERÓWNA

13

JAK SŁOŃCE SPIJA ROSE

(Opowieść)

Gołowinski uczył się zupełnie dobrze. Cudowne leki były, widać, w tem winie, a może i w tajemniczym uśmiechu panny, w linjach zdecydowanych ciemnych jej brwi, w spuszczonej na oczy powiece, w bladym, a dziwnie rozwidnionym czole i w zamyśleniu głębokim, a tak pięknym...

— Wy nademną, jak rzymska Sybilla — rzekł, zupełnie dla siebie niespodziewanie, Gołowinski — a ja — strudzony przychodzić zdaleka!..

— Wszyscy jesteśmy przychodniami z dalekich stron... spotykamy się na krótko i rozchodzimy w nieznanie dale — odpowiedziała tym samym tonem Lotka.

Major popatrzył na nich zdumiony, zgorzony. Czy aż taka fałszywa?! czy naprawdę jest coś między nimi dwojgiem?..

Zrobiło się starcowi dziwnie przykro i nieswojo.. POCO? poco on tutaj?

Wstał i, nie żegnając się z nikim, przeszedł do swego pokoju.

A Lotka grała jeszcze, sama, bo „chory człowiek“ nie mógł dostatecznie skupić uwagi.

Około północy dopiero odesłano tych panów dworską kareta i końmi do Janowa.

Wtedy Lotka przeszła do oranżerii i jeła obrywać z wazonów mirtowe gałązki. Zamyślona i cicha, uwiła wianuszek i choć noc już była czarna, wzięwszy pod rękę Justynkę, poszła na koniec wsi do chaty

Eufrozyny. Zastała w chacie i dokoła całą wieś. Kłęcząc, modlili się unicy za duszę umęczonego dziecka. Włożyła jej panienka wianuszek na skronie i przesiedziała przy zwłokach do rana. Obok łóżka, na podłodze, leżała krzyżem Ksenia. Nazajutrz wszystkie kwitnące rośliny z oranżerii przeniesiono do chaty Eufrozyny, zapalono światła — ubrano dziewczynkę w białe gazy... Trzy dni i trzy noce na zmiany kłęczała u jej zwłok cała wioska; przychodzili ludzie z dalszych okolic; adorowano, już nie Hanusie — pastuszkę, ale świętą męczennicę Pańską.

IX

Na święta Bożego Narodzenia Artur Poradowski wrócił z wojażu. Zadowolony był z siebie. Misję spełnił, jak mu się zdawało, doskonale. List Ojca Świętego do unitów, z błogosławieństwem i zachętą do wytrwania, obiegał już oddawna w odpisach wszystkie parafje unickie, krzepiąc wiarę, dodając mocy prześladowanym.

Nie Artur go przywiózł. Stało się to innemi, tajemnymi drogami, ale on go spowodował, on powiódł memoriał i postarał się o doręczenie.

Po tem wszystkiem spodziewał się, że w Łęgach spotka go przyjęcie łaskawe.

Dziwnym zbiegiem okoliczności, pierwsza rzecz, którą go powitano na peronie kolejowym, była wieść o śmierci Gołowinskiego.

Uderzyło go przykro to nazwisko. Może dlatego, że zamieszane było w plotki sąsiedzkie o pannie Grudzińskiej, może dlatego, że stawiało mu odrazu przed oczy całą tragedję Podlasia, jemu, wracającemu z innych światów. Wionęło nań u wstępu atmosferą polskiego życia.

Stangret, unita, który cicho i tajemniczo o tej śmierci mu opowiadał, zaciekał się wciąż nad przyczynami niespodziewanego skonu głośnego „diejatiela“.

— A niech go diabli wezmą! — odpowiedział niecierpliwie młody dziedzic i kazał sobie opowiadać o domu, o gospodarstwie, o stajni.

Po krzykliwych powitaniach sióstr i uroczystem—matki, po wyczerpaniu motywów podróży i sprawunków paryskich, miał Artur ochotę zapytać o Lotkę, ale jakoś nie śmiał.. Pod koniec obiadu dopiero oświadczył nagle, że nazajutrz jedzie do Łęgów.

Na to matka wzruszyła ramionami.

— Myślałam, że po Paryżu...—a gdy Artur milczał — ta zwarzowana chłopomanka...

Syn się nachmurzył, więc poprzestała na tem...

Przybywszy do Łęgów, Artur zdumiał na widok zmiany, jaka w ciągu kilku miesięcy dokonała się w Lotce. Zdawała się wyższa, smuklejsza... ale to nie to jeszcze! Lotka była inna... Nie znaczyło to, by mu się mniej podobała teraz, przeciwnie! ale nie była to już rówieśnica młodych lat, prawie siostra, a jednocześnie upragniona kochanka.

Coś obcego, coś nowego w niej!

Onieśmieliło go to narazie. Mówili o rzeczach obojętnych, o podróży, potem o sprawie u Papieża.

— Bądź ostrożny teraz — ostrzegała go Lotka — i nie zwierzaj się, bezwarunkowo, nikomu. Sam zapomnij! Uwaga tu zwrócona na nas wszystkich niesłychanie! Szpiegów pełno! Ja, oczywiście, należę do najbardziej podejrzanych i najlepiej będzie, gdy przestaniesz bywać w Łęgach.

— Co za myśl?

— Nie dziwna! Nie chciałbyś, przecie, powędrować do cytadeli, a potem do Wołogdy, czy Permu, może dalej...

— Czyż tobie to grozi?

— Nie wiem, ale napewno groziłoby tobie, gdyby się wydał właściwy cel twojej podróży.

Artur się zmieszał trochę. W czasach popowstańowych panowała na te rzeczy szczególna nadczułość. Po chwili jednak rzekł.

— Nie chcę! Nie przestanę bywać w Łęgach, a gdyby zesłano mnie, lub ciebie, pojedziemy razem.

Lotka głęboko spojrzała mu w oczy: Jak on jej jest oddany!

Usiadła przy nim, ujęła jego ręce i milczała długo, zadumana. Wreszcie rzekła.

— Zanim cokolwiek postanowimy, ja muszę ci zrobić pewne wyznanie.

Chłopiec się przestraszył.

— Wyznanie? Ja nie chcę!

— Ale ja muszę!

— Nie, Lotko, nie mów nic! Nic wiedzieć nie chcę!

Usta mu drgały, oczy szklily się łzami. Przypomniawszy sobie gawędy sąsiadów, te podłe, nikczemne! Te złośliwości sióstr, oburzenie matki z powodu nietaktu Lotki...

— Za nic w świecie! — powtarzał — ja nie uwierzę! Zgóry ci mówię. Niczemu nie uwierzę! Wszystko, co robiłaś, było dobre. Rozumiesz? Ja nie chcę wiedzieć...

Wstał, jakby do ucieczki, ale przeniósł się tylko na kanapkę pod oknem i, oparłszy łokcie na stole, ruchem troski ujął głowę w obie ręce.

Lotka podeszła doń i białemi dłońmi głaskała krucze, wijące się w pukle, włosy ślicznego chłopca.

— Biedne ty, rozpieszczone dziecko! — rzekła. — Nie bój się! to nie to, co myślisz... to coś straszniejszego... ale nie to!..

Podniósł na nią zdumione, szafirowe oczy.

— Nie to?... a więc...

— Chciałabym z tobą mówić, jak z człowiekiem dorosłym, jak z mężczyzną. A ty taki dzieciak!..

On zaczął namiętnie całować jej ręce.

— Lotko! niema dla mnie szczęścia bez ciebie! Ale nie strasz mnie tajemnicami. Ja czuję doprawdy, że nie nadaję się do tragedji, a tu u was wszystko takie ponure, złe, okropne! Tak mi było dobrze w krajach słońca...

— Wiem. Tragedja nie jest żywiołem twojej duszy, małe ty! I dlatego ja nie mogę być twoją żoną.

On ścisnął w swoich jej ręce.

— Nie mów tak, Lotko! Nie mów, bo mi serce pęknie! Wywiozę cię z tego nieszczęsnego kraju. Jestem bogaty. Będziemy żyć w ciszy, w szczęściu, wśród dobrych, pogodnych i szczęśliwych ludzi! Na wolności!

— Na wolności! A tu zostawimy niewolę i zbrodnię, pastwiącą się nad ludem! Uciekniemy, bo mamy pieniądze, a oni zostaną! Nie, ja bym tak nie mogła...

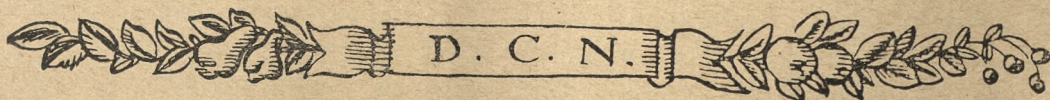
— Więc dobrze! — zgodził się natychmiast. — Będziemy męczyli się z nimi razem. Zrobię wszystko, co zechcesz, wszystko, co każesz! Nie zganię nigdy żadnego twego czynu!

— Nigdy? Nie zganisz?

— Nie! I w żadną twoją tajemnicę wnikać nie będę. Ja nie wierzę nikomu. Wszędzie obłuda, fałsz, nawet w mojej rodzinie. Jedną mam niezłomną wiarę: w twoją duszę!

Lotka zamysliła się.

— A jednak tak nie można.



HETMAN ZŁOTOBRODY I WŁADCZYNI LIBANU

(dokończenie)

IV. OSTATNIE GODZINY

Wrócił Hetman Złotobrody
Gdzieś z za świata, gdzieś z za wody.
.....
Pomknął Hetman wicherem wrącym
Jednej wiosny na Moskali...

(W. Pol: Pieśni Janusza)

W tragiczną wiosnę r. 1831, na polach Daszowa rozegrał się ostatni akt dramatu, jakim było życie Wacława Rzewuskiego. Przez dziesięć lat obnosił on niepokój wieczny swego serca i tęsknotę, niczem nienasyconą, po stepach ukraińskich, tak jak niegdyś po piaskach Arabji — aż znalazł ideę, cel, w które włożył cały niewyzyskany zapal — i odtąd, wraz ze swym powiernikiem i pieśniarzem (Tymkiem Padurą) snuł marzenia o wskrzeszeniu dawnej kozackizny i czekał jeno chwili, w której danem mu będzie

„na cztery wiatry wsadzać konie skore
I od południa wołać ku północy:
Hraj, czorne more i hraj, białe more!
Hu ha! swoboda w lackiej ziemi płynie,
Bih pomahajby Polszcze, Ukrainie!”

Chwila nadeszła — ale marzenia się nie spełniły. Mała tylko gromadka wiernych dworskich kozaków stanęła przy swoim atamanie — ona jedna miała na ustach hasło Padurzy:

„Słynie szczęście, jak woda,
Koły z namy zahulaje
Zołotaja boroda.

W złotą brodę srebrne już plątały się nici, Emir dobiegał pięćdziesiątki; „wcześnie żyć zaczął, więc dawno już zostały poza nim iluzje młodości”. Pięknie maluje go Budzyński:

Był on w tym wieku, gdy siła człowieka
Z pierwszą starością pierwszą walkę zwodzi,
Namiętność młoda z piersi nie ucieka
I choć ognistych płomieni nie rodzi,
Jaśniejszym zato blaskiem się powleka.
Tak słońce Lipca, gdy spada za góry,
Już z łona swego nie rzuca tej spieki,
Pod którą piękność zamiera natury,
Ale ustraja purpurowym włosem
Lasy i wody, góry i doliny.
I woła ludzi tajemniczym głosem
Do najpiękniejszej, ostatniej godziny.

Dalej opisuje poeta jaknajdokładniej zewnętrzny wygląd swego bohatera. Widzimy go w stroju kozackim wbrew legendzie, która malowała nam zawsze Emira w teatralnym nieco ubiorze Beduina, którym gorszył pocztową szlachtę, a zachwycił romansowe szlachcianki.

Głowę nie kołpak, nie jasna przyłbica,
Ale z lampasem nakrywa magierka,
Na bakier wdżiana od lego boku,
Jasnym się włosom daje wić półkolem
I grać swobodnie błękitnemu oku,
Pod gęstą rzęsą i wysokim czołem.
Nos zakrzywiony, jak białego ptaka,
Co na czerwonych proporcach błyszczący,
Do krwawych bojów prowadzi Polaka.
Wąs, jak słoneczne promienie świecący...
Złoty Rewucha... na czarnym rumaku
Z burką kosmatą, na opaszki wdżianą.

Wrył się w pamięci tego, kto musiał go widzieć w owym stroju na zebraniu w Krasnosiółce, dnia siódmego maja, gdzie gromada szlachecka wybierała wodza powstania. W przypisku dodaje: „Rzewuski miał chęć niezawodną stanąć na czele powstania (ukraińskiego) i niewątpliwą jest rzeczą, że byłby więcej na swoim miejscu, jak osiemdziesięcioletni starzec, już zdzieciniał (Kołyśko). Ale między przeszkodami, które mu dowództwa objąć nie pozwoliły, nasunęła się zaraz opinia: syn zdrajcy kraju, niema żadnej ręką ufności, i lubo niesprawiedliwą jest rzeczą karać dzieci za ojca, to jednakże nie można wziąć za złe narodowi, że karmi w sercu swoim tak ostre sądy za największą zbrodnię”. „Rzewucha” hetmanem został tylko w pieśni.

W poemacie Budzyński wkłada w usta legendowego Wernyhory ten bolesny wyrok, łagodząc go obietnicą pięknej i ofiarnej śmierci, która będzie apoteozą i — ekspiacją.

Niezliczone legendy osnuły tę śmierć Emira Rzewuskiego. Widziano go poraz ostatni na polu nieszczęsnej Daszowskiej rozprawy, wśród kurzu, dymu i błyskawic na czele swego szwadronu. Wiadomo, choćby z dumy Słowackiego, jak niewytłumaczona fatalność zmieniła entuzjazm w panikę, zwycięstwo — w klęskę, i jak mała garstka walecznych rozpaczliwą obroną uratowała honor polskiej broni.

Który z rycerzy, wstępujących w szranki,
Po bitwie wieńcem czoło swe ustroi?
Kto się do Polski, wszystkich nas kochanki,
Zbliży po wstęgę waleczności swojej?
Wam tylko, zmarli, niech się liść laurowy
Na cichych grobach zielenią rozwinie...
Wam tylko, zmarli, oddadzą potomni
Cześć, żeście hańby boju nie przeżyli...

Emir dnia boju nie przeżył.

Czy leży w polu, tak jak chce Budzyński, czy go, w ucieczce, „od Cara najęty chłop zabił”, jak śpiewał Słowacki, jedno jest pewne: grób jego pozostał nieznany nikomu, jak sobie niegdyś przepowie-

dział w liście do lady Ester: i, być może, że „sępy rozszarpały jego ciało, a kości jego zmieszały się z kośćmi rumaków“.

Ta, która była powiernicą żalów i zapałów polskiego wędrowca, fantastyczna Angielka, od ojczyzny swojej gniewnie odwrócona, została wierną pustyni i swojej mizantropji. W r. 1832 odwiedził ją Lamartine i, podobnie jak nasz Emir, zdumiony był widokiem tak niepospolitej istoty. Starzała się — sprawy Europy zdawały się jej zupełnie nie zajmować — oczekiwała przyścia jakiegoś tajemniczego Mesjasza — a tymczasem nędza chwytła już ją w swoje szpony — nie ugięła się, jednak, aż do końca. Samotna w swoim orlem gnieździe, opuszczona prawie zupełnie przez Europejczyków, była jednak do ostatka władczynią i Sybillą Libanu. Przesądni arabowie widzieli w niej poprostu — czarownicę i lękali się jej.

W ostatnich jednakże dniach, Sybilla została zwyciężona swą własną bronią.

Tłumy derwiszów, żebraków i wędrownych mnichów, żywione niegdyś przez nią, oblegały jej dom, rozpadający się w ruinę. Pewnego zimowego wieczora — opowiada lekarz nadworny milady — żebrak ogromnego wzrostu stanął u bramy, domagając się jałmużny.

Wiatr od morza huczał wśród cyprysów, deszcz i mgły okrywały dolinę białym całunem. Był to człowiek atletycznej budowy, z długą białą brodą, skóra tygrysa zwisała mu z ramion, pierś miał obnażoną. U pasa zwisała mu czarka drewniana, bukłak i różaniec z olbrzymich paciorków.

Wielkie, czarne oczy błyszcząły niesamowicie. Dano mu zjeść, ale nie dano pieniędzy, a dawnymi czasy derwisze, jak on, otrzymywali po kilkaset piastrow jałmużny. Podniósł się wówczas wyciągając przed siebie rękę prawą, lewą uniósł do ust róg, w który zadął trzy razy, mieszając dźwięk jego z wyciem burzy, i rzucił na dom, na jego władczynię, na jej sługi i przyjaciół uroczyste przekleństwo. „Przekłeta, przekłeta, przekłeta“ — wołał. Melancholiczne krzyki la-

tających burzyków, ptaków złej wróżby, łączyły się z głosem derwisza. Lady Ester leżała w łóżku, wychudła, jak szkielet, chora, dogorywająca. Pokój, w którym mieszkała miał sufit walący się, tak że podstemplowano go prostym pniem nieociosanego drzewa; przez szpary deszcz wdzierał się do wnętrza. Zaledwie kilka sług, arabów, pozostało przy niej. 20 czerwca 1839 r. wydała ostatnie tchnienie. Nikt nie zapłakał na jej grobie, gdyż nikt jej nie kochał, tak samo, jak ona nie kochała nikogo, prócz swoich koni, które na kilka miesięcy przedtem kazała zastrzelić, gdyż nie miała ich czem żywić.

Grobowiec władczyni Libanu, zwany też grobem czarownicy, obrócił się w ruinę, wtedy rząd angielski kazał go wymurować nanowo, nie chcąc, by zwłoki obywatelki Wielkiej Brytanji zostały sprofanowane; nie dano jednak żadnego napisu na nim, gdyż była to kobieta, która się wyrzekła swej ojczyzny.

Dziś, ponoć, z całej osady, która była siedzibą lady Stanhope, pozostała tylko kępa drzew, odbijająca ciemną plamą na złotawem tle piasków Libanu. (Tak samo, jak w Sawranii, gdzie jedyną pamiątką po siedzibie Emira i legendarnych stajniach jego kochanów został zdziczały ogród, jak oaza wśród stepów).

Została, być może, i owa skała, z wrytym na niej znakiem, którą — w trafnem przeczuciu — jedynym swym grobowcem zwał Rzewuski.

Lady Ester, odwróciwszy się zupełnie od spraw Europy, nie dowiedziała się może nawet o śmierci swego dawnego gościa, i niedoli jego ojczyzny.

Nie przybyła w pobożnej pielgrzymce do owej skały wymarzona bogdanka, o której trudno rzec, czy była rzeczywistością, czy mytem poety. Inna zato, ubóstwiająca go, kobieta umarła z żalu w kilka dni po klęsce daszowskiej.

„Wieczna kochanka“, pod której znakiem zginął w służbie, godnej rycerskiego serca, nie zapomniała o nim. Łzą która padła na nieznany grób, była perła najczystsza poezji polskiej: „Duma“, która sama jedna może wystarczyć dla wiecznej nazwiska pamięci.

„Ta jedna łza, Emirze, za wszystko ci zapłaciła!“,

JÓZEF JANKOWSKI

„WALKA O CZŁOWIEKA“

P. Lucjan André, którego pierwszy zbiorek poezji p. t. „Walka o człowieka“, ukazał się świeżo w druku, ma niewątpliwie talent niepowszedni: zarówno tętno obrazów, jak i tętno rytmiczne poetyckiego pędu, jak i chwalebne zawsze miarkowanie parskającego rumaka, są tego wyraźnym dowodem. Tyle — formalnie. Teraz — strona wewnętrzna,

ideowa: nie — jak służy, lecz — czemu służy. Już sam tytuł wskazuje, że p. André pragnie nowego człowieka, takiego pojęcia człowieka w Polsce, który byłby wzorem dla świata i mocą dla swego Państwa, słowem — człowieka w całym znaczeniu wyrazu, człowieka — ideału. — Zamiar ten, zradzający się w dążeniach dzisiejszego młodego pokolenia, jest

nader szczytny. Istotnie, nie może być większego zadania w życiu, jak stworzenie i urzeczywistnienie takiego człowieka absolutnego, człowieka nowej epoki, który dałby pokój i szczęśliwe zdążanie do celów ostatecznych.

Żeby, atoli, tworzyć takiego nowego człowieka, trzeba go pierwszej dobrze określić. Trzeba wiedzieć, czego się chce i dokąd się dąży. Rzeźbiarz, któryby miał nie wiem jakie szczytne dążenia, i nie wiem jak pięknie mówił o nich, nie wyprowadzi z bloku marmuru posagu, dopóki go pierwszej nie pocznie dobrze w swej wyobraźni, dopóki nie narysuje go, nie wykreśli uprzednio we wszystkich szczegółach, nie stworzy go naprzód wewnętrznie.

Czy dzisiejsze młode pokolenie twórcze wykreśla sobie dokładnie takiego nowego człowieka, a jeżeli nawet wykreśla, czy wykreśla go dobrze, według dobrych sprawdzianów, — oto jest zasadnicze, tak ważne dla dzisiejszych czasów, pytanie! Pytanie tak ważne, że od odpowiedzi na nie zależy przyszłość świata!

Zazwyczaj, młode pokolenie dzisiejsze w dążeniu tem opiera się na pojęciu luźnem (jak luźnem!) ducha, natchnienia, pędu wewnętrznego, nawet ślepego instynktu zwierzęcego lub zgoła—pogańskiego. Duch miałby tu być celem samego siebie. Widzimy to, na przykład, we wszystkich poczynaniach nowej pedagogiki, gdzie chodzi o wyzwolenie maximum energii indywidualnej dziecka. Byłoby to dobre, gdyby... gdyby (mała rzecz!) duch ten, o czym wszyscy, zdają się tak ślepo zapominać, był z gruntu dobry gdyby nie uległ w naturze swej skażeniu dziedzicznemu (to, co się nazywa w religji „grzechem pierworodnym“), gdyby nie był zarazem i złym duchem. Wyzwalając tedy sum m u m energii, wyzwalamy zarazem złego, jak i dobrego ducha, — gorzej nawet: bez tego odróżnienia, skażamy coraz bardziej naturę i wyzwalamy wreszcie tylko złego ducha.

Zbójnicy, którzy urządzili haniebny napad na posła Zdziechowskiego, kierowali się także duchem, pędem, natchnieniem ślepem, i mniemali nawet, że robią dobrze. Widzimy więc, do jakiej potworności może prowadzić nieodróżnienie zasadnicze złego ducha od dobrego ducha.

Więc cóż? Rozum — jako kontrola i sprawdzian? Ba! Ale tu także próżna ucieczka. Rozum ten doczesny człowieka jest za pan-brat z jego duchem w jednej naturze skażonej. On i rumak, na którym on jeździe, to jedna natura, jeżeli on tę jedność zatwierdza i nie widzi w samym sobie odróżnienia. A tak jest dzisiaj, niestety, w tym relatywizmie powszechnym.

Śmiały człowiek nowy nie boi się dziś diabła ale też, niestety, nie boi się i Boga w sobie, nie boi się nakazu boskiego w sobie, który powinien być jego przewodem i być ponad jego ja, a za który bierze on dziś nieszczęście swoje własne ja.

Cóż więc pozostaje? Gdzie sprawdzian dziś postępku człowieka, gdy nie masz go w przyrodzie człowieka?

Na tem właśnie polega cały tragizm dzisiejszy, że sprawdzian ten wyparował z uczucia człowieka, jako nakaz i hamulec nadprzyrodzony, religijny, i nie zrodził się jeszcze, jako pewność, w głowie, w rozumie człowieka. Stąd ten okres dzisiejszy krytyczny, antynomjalny.

Człowiek dzisiejszy bierze dążenie, pęd swej skażonej natury (przy nieodstępnej przy tem pysze i ślepcie) za nakaz kategoryczny, nie odróżniając siebie przyrodzonego, siebie stworzonego, od swej zasady nadprzyrodzonej, stwórczej, na której jedynie może być oparte życie rozumne, celowe. Nie ma, nie zna, słowem, człowiek ten celu absolutnego, o jaki wołają gwałtownie, dla jego zbawienia, czasy dzisiejsze.

Imponderabilia, na które powołuje się nowe pokolenie, są słuszne, ale trzeba je zrozumieć i określić wyraźnie, gdyż imponderabilia — to nie pęcherz, wydęty powietrzem — duchem — nie amatorstwo i przygoda pusta, lecz prawo najwyższe moralne, prawo boskie w człowieku, które ma być odróżnione całą przytomnością od skażonej natury człowieka, od jego ja, i położone, jako zasada stwórcza jego przyszłego ja. Bez tego nowy człowiek jest niepomysłany.

Tak więc, założeniem nowego człowieka ma być nie ślepy instynkt, nie luźny duch, lecz jasne, wyraźne i świadome uznanie autorytetu i prawa boskiego w człowieku ponad jego ja osobistem, jako zasady kierowniczej. Gdy samo to założenie nie jest jeszcze możliwe rozumowo, powinna być przynajmniej dobra wola i nakaz uległości wewnętrzny, (o ile to znów możliwe) do szukania tej zasady. Szukanie, wyznaczone dobrą wolą, będzie już drogą do celu: „Szukajcie, a znajdziecie!“

* * *

Czy poezje p. André'go, dobijające się o nowego człowieka, mają wyraźną świadomość tego celu, chociażby taką, jaka wymagana jest w poezji? Mniemam, że jeszcze nie zupełnie, choć na pochwałę ich wyrzec należy, że mają więcej od wszystkich poezyj współczesnych poczucia tego celu. A to już jest wiele.

Słusznem, nadewszystko, w tej budowie nowego człowieka przez p. André'go jest to, że poeta, rzucając most w przyszłość, wiąże go z tradycją — z tradycją rycerską Polski i z tradycją chrześcijańską Polski. Dlaczego miecz w obrazie Krzyża gra dominującą rolę w tej budowie, to już sprawa historyzofji uczuciowej poety, o którą się spierać nie będę:

Bo idą dni ponure, ciemne, ołowiane,
Dies irae, —

wieści poeta, bo taki jest głos jego ducha:

Na bój cię sposobie
Ostatni, Polsko! — ziemię i niebo poruszę!
Więc nie kwiaty do stóp Twych rzucam dziś, lecz dusze!
I nie słowa! — bo słowem mem do miecza trafię!
I nie liczmany hasła, — bo na Twym ryngrafie
Jeden jest tylko obraz: Chrystus z Krzyża mieczem,
Walczący o to Boże królestwo — w człowieczem!
(„Przełom“).

To złączenie zasady męstwa cywilnego z celem Chrystusowym jest niewątpliwie wysokim i pięknym odczuciem, zarówno posłannictwa Polski, jak i ogólnych przeznaczeń świata, — jest tem, co tę książeczkę poezji podnosi na wyżyny szczytne, mesjaniczne.

Płomiennem umiłowaniu Polski i Jej ideału rycerskiego są wycechowane prawie wszystkie karty tego wzniosłego zbioru. Śliczny jest w „Legendzie o nieznanym żołnierzu“, opiewającej pogrzeb jego zwłok w dn. 2 listopada 1925 r., obraz rycerza spiżowego, symbolizującego dla poety cały naród — jedność jego, — gdy w „ciszy wielkiej, ciszy, jak w kościele, rusza“... i jedzie w kraj polski, gdzie kołem mu chodzą „lasy, rzeki, sioła, — obłoki suną białe, jak skrzydła anioła“, i gdzie stary Radgast na szmaragdowej łące, wpatrzony w rycerza, „ze strun zamierzchłej wioli cichą pieśń wyzwoli, i prawi — prawi dzieje pasieki słowiańskiej, proste, jako przenośnie Ewangelji Pańskiej“.

Wreszcie, hen, daleko, koń zwalnia biegu — rycerz ogląda dzieło Polski:

Pod słoneczną spieką
Świat rozchyła się wkoło, jak kwiatowy kielich,
I pod niebem ogromnem, nakształt rojów pszczoł
Wre święta ludu praca...

Rycerz konia wstrzyma,
Zasłucha się, jasnymi powiedzie oczyma,
Odpasze miecz prastarym obyczajem Słowian,
Koniu puści samopas...

I płomieniem owian,
Kroczy oto za pługiem zbożnego oracza
I tak brodząc — za pługiem — do serc ludzkich wkracza.

Aczkolwiek rodowodu tego obrazu, jak również i ogólnego tonu lirycznego poezji p. André'go, można by doszukać w Słowackim („Zborowski“), nie mniej ten ogólny zawiera sporo cech indywidualnych, dających jego poezji tytuł samoistny, zarówno pod względem formy, jak i ducha. Od romantycznego, łatwego wylewu odróżnia głównie p. André'go skupienie czujne świadomości twórczej, potok swej lawy boleśnie, prawie ciągle zatrzymującej i opatrującej stężone jej bryły. „Wali poeta w kowadło, opasany skórzanym fartuchem, i skaczą słowa z pod młota“... — mówi autor o swym procesie twórczym w wierszu, p. t. „Falanga“.

Nie powiem, żebym się zachwycił w dzisiejszej poezji modnem stosowaniem aparatu fabryczno-tech-

nicznego do jej obrazowania, — „poezją drapaczy nieba, iskrzącej się radio-fali“, — poezją z „zamachem parowych młotów, ciężarem kół rozpędowych, tętnem magneto-motorów“, — wszystkimi urbanizmami i industrializmami, tak pochopnie wytaczanymi dziś w poezji przez młodych. Owszem, może to być dobre, ale to... przemijające, nie wieczne — środek, nie cel, który powinien być głównym zadaniem poezji. Wolę te poezje p. André'go, które torują „Królestwo Boże w człowieczem“.

P. André parę poematów swych („Imponderabilia“, „Szara i błękitna“) poświęca apoteozie Marszałka Piłsudskiego, który „podźwignął swe tragiczne veto“:

„Polska“ — słowo, armatnią podparte lawetą,
Wyrwał z serca i w tłumy na ulice cisnął,
I taką czarną grozą nad miastem zawisnął,
Że ktoś w oczy mu zajrzał, ktoś trwożny, nieufny
Prawdy chciał, — i miast oczu, ujrzał ostrze lufy.

Rzecz w poezji powiedziana mocno — bardzo mocno. Cenię zapał młody i prawosć poety w szukaniu ideału nowego człowieka, — ale znowu zdaje mi się, że wielka poezja, którą niewątpliwie jest namaszczone p. André, powinna być wolna od aktualnych tematów bolesnych, stanowiących antynomję narodu, by antynomji tej nie powiększać i nie uwikływać poezji w sferę polityki. Poeta powinien stać ponad antynomjami — godzić je — być raczej głosem czystym historii, niż wrzątkiem gorącym formującego się dopiero jej kotła.

Słówko o asonansach w poezji p. André'go. Jestem stanowczym ich przeciwnikiem. Jest to rzecz najsztuczniejsza, wyhodowana przez spekulację próżnego ducha semickiego — w braku prawdziwych natchnień. Poeta współczesny nie jest pierwotniakiem ludowym, by posługiwał się sztucznie tem, co u niego jest naturalną prostotą. Gdy lud mówi: „Nie rychło, Marychno, po śmierci wędrować!“ — jest to cudowny asonans, ale gdy poeta współczesny asonansuje nieufny i lufy, jest to dziwoląg sztuczny i nie asonans, lecz a-sens. Pana André'go stać na trud dobrych rymów — czego daje dowody zupełne. Niech pisze wreszcie białym wierszem, stokroć trudniejszym, co do istoty natchnienia, od rymów.

Na okładce książki p. André'go figuruje postać prometeiczna człowieka na tle łamiącego się piorunu, opasana cierniową koroną. Pomysł ten, mniemam, jest syntezą uczuć p. André'go. Tu poeta ma całą słuszość. Sam prometeizm, podnoszony dziś jeszcze, jest niczem, jest anachronizmem. Prometeizm plus ofiara chrześcijańska — oto człowiek nowy, oto — cały człowiek!



W. MIŁASZEWSKA

RZECZY „NAJWAŻNIEJSZE“

(Feljeton)



ubisz chodzić po ulicach Warszawy, tak, — niby bez celu, dla użycia ruchu, dla przyjrzenia się sklepom, ludziom, pojazdom — wogóle, tak sobie, dla przyjemności?

Ja bo — pasjami. I gdy mam tylko chwilę wolnego czasu...

Wygląda to może zabawnie, ale ci wyznam w tajemnicy, że taka włóczęga jest dla mnie czemś więcej, niż przyjemnością: jest rodzajem pożytecznej nauki, metodą poglądową przyswajania sobie wielu mądrości życia, pogłębianiem poczynionych obserwacji, lub ich sprawdzianem, słowem, — jest to czas, dobrze spędzony.

Uczę się, idąc wolno różnemi ulicami. Uczę się, jak wygląda moje rodzinne miasto, uczę się poprzez oblicza obcych przechodniów sylabizować, co niesie dzień dzisiejszy, obecny rok, nasza epoka. Nie śmieję się. — Z takich „czytanek“ można dużo skorzystać. Ani spostrzeżesz, jak się o swoim bliźnim dowiesz potrochu wszystkiego. A okno wystawowe! Toż to prawdziwy kalendarz! Opowie ci ono najdokładniej, jaką porę roku mamy, jaki miesiąc — ba! nawet dzień... Oto mijamy cukiernię. Za witryną błyszczą strucle, pięttrzą się stopy marmeladek, zmieszanych z figami, orzechami, malagą... To Boże Narodzenie. A kiedy indziej baranek z cukru i jaje z czekolady obwieszcza ci, że Wielkanoc za pasem. Góry chrustu wołają: oto karnawał!

Magazyny konfekcji damskiej dostosowują się kolejno do dat kalendarzowych. Suknie, bielizna, kapelusze, nawet trzewiki świergocą o letnich wywczasach nad morzem, o słotnych dniach jesieni, o zapańskiej zimie, lub o zielonym karnawale; wszystko wyczytasz, wszystkiego się dowiesz. A chcesz się czegoś dowiedzieć o kobietach — o Warszawiankach, jeżeli wolisz?... Proszę, nie łatwiejszego. Oto kroczą dwie nadobne niewiasty. Chód żwawy, ruchy zamazyste, twarzy z pod kapeluszy nie dojrzysz, ale zato usłyszysz bezwątpienia następujący djałóg:

— Za tym metrem „krepdeszynu“ tom pół Warszawy obleciała, zanim znalazłam taki odcień!

— E, moja droga, jabym poprostu dała do farby...

— Aha, właśnie. Żeby mi potem wypadło kupować inny jedwab.

Jakieś auto mija nas — tracę na chwilę wątek. Poczem dobiega mię oświadczenie:

— ...Takiej bielizny, jak ona, chyba nikt nie ma. Powiadam ci, wszyściutko z jedwabiu, rozszywane walansjenkami... Pozazdrościć...

— A na ten wieczór u Ksawerków masz suknię?

— Jeszcze nie. Chciałabym z lamy, wiesz. Ale Józek nosem kręci, że drogo... E, już ja mu spokoju nie dam, a na suknię wydebuję...

Tracę z oczu rozgawędzaną parkę przyjaciółek. Ale oto za plecami inny znów djałóg:

— ...Kołnier z szenszyli, moja droga, tył wyrzucany, a rękawy...

Oglądam się, choć to nieładnie. Naturalnie, idą dwie panie. Wysoka blondynka kończy z zadumą w oczach:

— Ale chociażby z imitacją, będzie napewno za drogo...

I znowu, zboku, inny kobiecy głos:

— Pół roku na ten kostjum ciulała, a kuśnier wziął i spartolił...

Jakaś osóbką mówi z ogniem w czarnych źrenicach:

— Przeczytałam... i mówię ci... aż mi oddech zaparło...

Wyteżam słuch. Nareszcie — nie o gałgankach. Nareszcie — coś z literatury, może z dziedziny ducha! Czarnooka kończy, wzdychając:

— Pomyśl: zupełnie nowe, nieużywane futro, i tylko czterysta złotych... Poleciałam, ale już mię ktoś ubiegł...

Tak. Chodząc po ulicach, możesz się dużo ciekawych rzeczy dowiedzieć. Słupy z ogłoszeniami pouczą cię, jakie będą najbliższe odczyty, koncerty, filmy, — kto umarł, kto jest poszukiwany za rozbój, kto wynalazł nową maść na piegi... Wystawy sklepowe dadzą ci obraz życia Warszawiaka, jego gustu i potrzeb, jego apetytu i zamięłowań. A z urywanych rozmów wywnioskujesz napewno, o czem myśli przeciętny polski obywatel, co dla niego jest najważniejszą, istotną, palącą kwestją, — pod jakim znakiem upływa jego powszedni dzień.

Tylko, na miłość Boską, nie baw się w dociekania, o czem myśli modnisią warszawska. Bo jeżeli mówi to, co ma na myśli, możnaby z łatwością osądzić, że ideały, wartości, zagadnienia i nowiny dnia mają na imię: „Krepdeszyn“, żorżeta, strassy i — pantofle od Leszczyńskiego...

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

DZIEWCZĘTA Z DAWNYCH CZASÓW

Pod tym tytułem wygłosił prelekcję, która zgromadziła liczną i doborową publiczność, młody literat i prawnik paryski, pan Marcel Rémond. „Le Droit des Femme”, omawiając tę prelekcję, poświęca dość dużo miejsca streszczeniu tego tematu, który wzbudził, podobno, wśród słuchaczy wielkie zainteresowanie, — przedewszystkiem, zapewne, samą egzotycznością tematu. Jakże daleko, bowiem, odbiegła od typu nowoczesnej „garçonne” owa młoda dziewczyna z epoki Ludwików, nieśmiała, skromna i pobożna, z oczyma zawsze spuszczone. Życie jej nie było bynajmniej wesołe i pełne rozrywek. W domu rodzinnym przebywała bardzo mało, zaraz bowiem po jej urodzeniu oddawano ją, zwyczajem francuskim, na wieś do mamki. U takiej wiejskiej piastunki wychowywała się ówczesna dziewczynka z bogatego domu, conajmniej do trzeciego, a często nawet i do piątego—szóstego roku życia. Po odebraniu jej stamtąd, umieszczano ją niebawem „dla edukacji” w klasztorze, którego program naukowy był jednak dość skąpy. Uczono tam przeważnie przedmiotów, uważanych wówczas za najniezbędniejsze dla damy wysokiego rodu — to znaczy: muzyki, czyli gry na jakimś instrumencie w guście epoki, śpiewu, rysunków, haftu i robótek ręcznych — z nauk zaś — trochę historii, trochę gramatyki, o tyle tylko, aby się młoda dziewczyna nie wydała zbyt nieogładzoną, gdy przyjdzie jej „brylować” na salonach.

Gdy teorie Jana Jakóba Rousseau stały się modnymi we Francji, zaczęto wychowywać młode dziewczęta w domu. Moda wymagała, aby matka zajmowała się sama ich wykształceniem — zarówno moralnym, jak i umysłowym. Matki te, jednak, niewiele mogły przekazać swoim córkom, gdyż ich własne wykształcenie było, jak to już wykazaliśmy powyżej, bardzo ograniczone. To też musiały się one mimowoli wyręczać płótnami wychowawczyniami, noszącymi w owej epoce miano „guwernantek”, jeśli chciały swym córkom oszczędzić losu pani Duffand, skarżącej się gorzko, że wykształceniem jej zajmowała się — pokojówka jej matki!

Guwernantki owe, zresztą, były to osoby poważnie wykształcone, a nierzadko nawet zdarza się wtedy, że wychowanie córek, tak samo jak i synów, powierzano „metrom”, nauczycielom, wśród których nie brakło i wybitnych sił naukowych i pedagogicznych.

W każdym razie przed młodą dziewczyną z osiemnastego stulecia były tylko dwie drogi: zamążpójście, lub klasztor. Przeważnie zaraz po ukończeniu owej, dość skromnej, edukacji wydawaną była za mąż — i wtedy dopiero zaczynała się stawać „osobą”. Przed zamążpójściem strzeżono ją jaknajpilniej, by nie przeniknęły do jej świadomości jakiejkolwiek wieści o życiu realnym, otaczano ją atmosferą urojoną, wśród której żyjąc, nie miała po prostu pojęcia o swych przyszłych obowiązkach. Bardzo często więc wejście w życie równało się dla ówczesnej kobiety tragicznemu rozczarowaniu.

— Nie wolno nam żałować owych czasów — temi słowy zakończył swą konferencję mówca — lecz trudno czasami oprzeć się wrażeniu, że młoda dziewczyna ówczesna, pomimo wszystkich swych braków, posiadała jedną cechę, tak rzadką, niestety, wśród młodzieży dzisiejszej: cechę prawdziwej, subtelnej i pełnej czaru kobiecości.

Z. B.



TEATR NARODOWY

„Mściciel” sztuka w 3 aktach Stanisława Przybyszewskiego

Dramat Przybyszewskiego wykracza poza życie. Bohaterowie jego, spleceni węzłem fantastycznych przeżyć i powikłań, stoją na pograniczu rzeczywistości i postaci upiornych. Nie są to już nawet symbole, raczej strzępy istnień, widziane przez autora w ostrem, ale jednostronnym świetle. Zagadnienie grzechu i kary — nie zemsty — jest istotną treścią „Mściciela”. Bo właściwa zemsta dokonana została na człowieku niewinnym, jedynym prostolinijnym i żywym człowiekiem, który z dramatem reszty osób ma tylko przypadkowy związek.

Jerzy Sawicki kocha i jest kochany przez pannę Izę Szelutównę. Panna Iza ma brata, Zbigniewa, który kiedyś uwiódł niejaką pannę Orzelską i zmusił tem nieszczęśliwą dziewczynę do samobójstwa. (O tym wypadku, który jest właściwym zawiazkiem dramatu, dowiadujemy się ze skąpych słów Henryka Orzelskiego). Brat ofiary postanawia zemścić się na Szelutach — przedewszystkiem rujnując ich. Wyzyskuje on lekkomyślność Zbigniewa, pracą i wytrwałością zdobywa pieniądze i wchodzi w posiadanie rodzinnych dóbr Szelutów. Aby dopełnić miary swojej zemsty, uwodzi siostrę Szeluty, pannę Izę. Właściwie, ulega złudzeniu, że czyni to przez zemstę; raczej on jest narzędziem zemsty w rękach demonicznej Izy, która oddaje mu się, mszcząc się na Jerzym Sawickim, który nie chciał się wznieść na wyżyny prawdziwej miłości i, nie mogąc jej nazwać żoną, (jest bowiem żonaty), nie chciał z niej zrobić kochanki. Iza nienawidzi Henryka; Henryk kocha Izę; ostrze oddawna planowanej zemsty zwraca się przeciw mścicielowi... Iza każe Henrykowi odszukać Jerzego. Gdy obaj stają przed nią — nie waha się walczyć o swoje prawa do miłości, ale i ten, który ma prawo do niej, nie chce z niego zrezygnować. Jerzy odchodzi. Zostają ci dwaj — mściciel, którzy dokonali zemsty nad tem, co najbardziej ukochali. Główna przyczyna zła, uwodziciel Zbigniew Szeluta, wyjdzie z tej walki Dobry i Zły, Winy i Kary — obronną ręką. Utracił, co prawda, dobra ziemskie, ale resoner Snarski wyprowadzi go ku drodze do „wiecznej równowagi”. On jeden wyzwala się z cierpienia, jakim było dlań wspomnienie zawinionej, czy niezawinionej śmierci siostry Henryka. A jego własna siostra? Pozostaje jej tylko jedno: droga na owo urwisko, z którego kiedyś panna Orzelska skoczyła w otchłań morską...

A Henryk? Ten „homonovus” pozostanie w magnackiej siedzibie Szelutów i będzie miał poparcie owych „trzech postaci” (paskarze, czy poproście chciwcy?) cieszących się, że się wszystko wali i pali...

Nie wiem, czy potrafiłam streścić sztukę Przybyszewskiego. Wydawało mi się to jednak koniecznym dla ułatwienia widzom orientacji w tym labiryncie, w który autor wprowadził swoich bohaterów. Podobno sztuka ta została znacznie obcięta — może dlatego tragizm jej wydaje nam się tak bezcelowy i niezrozumiały w swoim okrucieństwie...

„Mściciel” Przybyszewskiego posiada chwilami spiżowy ton autora „Śniegu” i „Złotego Runa”, z łałem, jednak przyznać musimy, że należy on jednak do słabszych utworów wielkiego pisarza. Symbolistka tych współczesnych ludzi, metafory, wzniosły i sztuczny język, który nie pozwala aktorom grać, ale każe im w p o w i a d a ć kwestje, stanowią ciężar, z którym trudno uporać się dzisiejszemu widzowi.

Dyrektor Solski wyreżyserował „Mściciela” według wzorów, przyjętych dla sztuk Przybyszewskiego, t. j. pod ogólnym znakiem „demonizmu” i przesymbolizowania każdej kwestji. Odbiło się to, zwłaszcza, na grze panny Lindorówny, która miała, zresztą, rolę niewdzięczną. Panna Gromnicka w roli Szelutówny zgrywała się chwilami; podkreślić jednak musimy, że tym razem miała arcytrudne zadanie: od pierwszych słów potęgować akcent dramatyczny, aż do ostatecznego napięcia w akcie trzecim — i robić to bez monotonii — to już bardzo wiele. Doskonałego partnera znalazła pani Gromnicka w Orzelskim — Węgrzynie — silnego w ekspresji i w masce. Pan Brydziński miał mało do grania, dużo do mówienia. Pan Alfred Szymański był zaledwie poprawny. Scena z trzema paskarzami o wiele przejaśniona.

Po II akcie autorowi zgotowano gorącą owację, czcząc w ten sposób jego niespożyte zasługi na polu literatury, które wślawiły imię Przybyszewskiego daleko poza granicami kraju.

Z. P.

WIELKOPOSTNE REFLEKSJE POKARNAWAŁOWE

W środę popielcową mąż Zuli Bywalskiej telefonował do mnie, prosząc, abym przysła odwiedzić jego żonę, która jest słaba. Oczywiście, pośpieszyłam natychmiast. Zastałam Zulę w łóżku, bladą, z podkrążonymi oczyma; mówiła cichym, wyczerpanym głosem. — Kochana! jesteś, żeś się do mnie wybrała, nie obawiaj się, to niezaraźliwe, to tylko ten karnawał... — Przecież się skończył, — przerwałam. — Na szczęście, — westchnęła z ulgą Zula, — inaczej musiałabyś być na moim pogrzebie, a teraz taka brzydka pogoda, a i kwiaty drogie. — Takeś się zbalowała, biedaku, — rzekłam ze współczuciem, — słyszałam coś niecoś o twoich sukcesach, podobno byłaś rozbawiona, jak nigdy. — Nie rozbawiona, a „zabawiona“, zabawiona na śmierć, — skarżyła się żałośnie Zula, — pomyśl tylko: dwa miesiące nieustannych zabaw, i ten charleston, ten nieszczęsny charleston! blues'a i bostona mogłabym tańczyć dwadzieścia cztery godziny z rzędu, nie odczuwając zmęczenia, ale ten charleston i te złośliwe kopnięcia par charlestonujących obok! — Jakto charleston, przecież ogłoszono bojkot charlestona? — Właśnie to mnie skłoniło do nauki, — rzekła zbolalym głosem — z początku myślałam, że charleston to taka sama efemeryda, jak zeszłosezonowa floryda: przeminie, zanim się go człowiek zdąży nauczyć; ale z chwilą, kiedy się zaczyna coś bojkotować, to już trzeba się z tem liczyć, no i musiałam w samym karnawale brać lekcje charleston'a, który jest, jak na złość, djabelnie trudny, — Z dobrym skutkiem? — Dziękuję, nienajgorszym: po dwóch tygodniach umiałam już skrecać nogę w kostce i odpowiedzieć kopnięciem na kopnięcie. Ale tylko z własnym tancerzem i to wywołało pewne komplikacje, bo mój mąż jest człowiekiem starej daty i nie uznaje tańczenia przez całą noc z jednym partnerem; znowu mój tancerz nie uznaje tancerek, do których nie jest przyzwyczajony. Przedstawiłam go paru miłym kuzynkom, Ninie, znasz ją... — Ga zezowata? — Właśnie, i Maryni, tej co lekko utyka na prawą nogę, no i wyobraź sobie, że nie chciał z żadną z nich tańczyć, wobec tego tańczyliśmy ciągle razem. Mąż robił mi sceny, ale mu wytłumaczyłam, że teraz taki zwyczaj, że każda z pań angażuje sobie tancerza na cały karnawał, a zagranicą to jeszcze mąż musi płacić tancerzowi swojej żony. Rozejrzałam się nieco po znajomych i przyznałam mi rację. Tylko odtąd, chcąc się zrewanżować, zabierał mi tancerza jak najczęściej do bufetu, tak, że na balu Mody nie miałam z kim tańczyć, bo mąż wstawił mego tancerza, a żadna ze znajomych pań nie chciała mi swego pożyczyć. — Zato napatrzyłaś się na ładne tualety — przerwałam. — Powiadam ci, bajeczne! — ożywiła się Zula, — był pochód tualiet od pierwszorzędných firm warszawskich. Pancerze ze srebrnej i złotej łuski, inkrustowane brylantami, aż oczy bolały. — To grzech, taki zbytek, wobec nędzy i bezrobocia w kraju, — zauważyłam zgorszona. — Moja droga, — odpowiedziała Zula sentencjonalnie, — jak się kobiety stroją, to się im mówi, że gubią ojczyznę swoim zbytkiem, a jak się starają obywać jedną sukienczyną, to się im robi krwawe wyrzuty, że pozbawiają zarobku biedne pracownice igły.

A ja myślę, że jeżeli kogo stać na ładną suknię, to lepiej, że ją sobie sprawi, niżby miał mary-

nować dolary w szufladzie. — Masz rację, — zawołałam przekonana, — opowiedz mi jeszcze o tualietach. — Za wielebym musiała mówić, — uśmiechnęła się Zula łaskawie, — powiem ci tylko, jakie tualety miały królowa i wicekrólowa balu. Królową została obrana p. Hanka Ordonówna: miała krynolinę ze złotej koronki i czepeczek z kameą. Wicekrólowa, p. Żulydzka, miała suknię pompon z różowego tiulu: obcisły jedwabny staniczek podtrzymywały brylantowe ramiączka. Szczegóły zapomniałam, bo tej samej nocy byliśmy na balu młodych prawników i na balu morskim. — My? — No tak ja, mąż i tancerz. — I tak co noc? — Mniej więcej, dodaj do tego dzienne wizyty, dancingi od piątej do ósmej, posiedzenia balowe i zabawy prywatne, a zrozumiesz, że jestem chora. — Ja się dziwię, że jesteś żywa, — wyrwało mi się mimowoli. — Do wszystkiego się można przyzwyczaić, — rzekła Zula z rezygnacją. — Na balu „Latarni“ był taki tłok, że z mojej tiulowej krynoliny zostały smutne strzępy. Kilka pań zemdlęło z braku powietrza, a ja pojechałam jeszcze na dancing do „Oazy“, tylko wpadłam do domu, aby włożyć całą suknię. — Winszuję, ale ta sala Resursy Kupieckiej jest doprawdy za ciasna na wielkie bale; słyszałam, że na „Dzieciach Marji“ przetrącili jednej pani żebro. — Z pewnością niejednej, zapewniła Zula. — Jedynie na balu „Arconii“ można się było ruszać, bo urządzono tańce i w sali bufetowej, przenosząc bufet do bocznych pokoi. I wogóle te bale korporacyjne mają taki miły nastrój. Ma się chwilami wrażenie, że się jest na balu prywatnym w jakimś miłym, kresowym domu. — Byłaś na jakiej reducie, lub balu kostjumowym? — Nie, tylko na balu „Głów Ucharakteryzowanych“, urządzonym na kolonje letnie. Nie masz pojęcia, co za pomysłowość. Najoryginalniejszą chyba była głowa Meduzy Gorgony, którą miała pani Bersonowa. Dokładna kopja z obrazu Leonarda da Vinci. Węże z zielonozłotej lamy wyglądały, jak żywe. — Jakie były jeszcze ciekawe głowy? — No, chyba głowy „liworyzowane“, ciekawe przez samozaparcie właścicielek, narażających się na zeszpecenie, pokaleczenie brylantowym pyłem i ironiczne przezwisko „głów do pozłoty“.

Pomysłowych przybrań było mnóstwo. Charakteryzacje portretowe, pasterki à la Watteau, stylowe peruki. Ogólną uwagę zwracała olbrzymia pajęczyna z pereł i srebrnej siatki, tworząca aureolę dookoła czepeczka ze srebrnej lamy, i zielona pagoda chińska, będąca zarazem najtwardszym z kapeluszy. — Ostatecznie, gdzie bawiłaś się najlepiej? — Chyba w sali Ratusza. Byłam tam na „Balu Prasy“, na którym wyjątkowo nie było w tym roku „prasy“ to znaczy, że można było tańczyć, nie narażając się na zgniecenie. Mogłam w polonezie obejrzeć przesliczną lila krynolinę redaktorowej Czempińskiej i podziwiać bajkowy wachlarz p. Zaleskiej, żony ministra spraw zewnętrznych. — Jakież to wachlarz? — Niezwykły. Olbrzymie strusie pióra, cieniowane od najbledszego różu do najmocniejszego karminu. Nie masz pojęcia, co za efekt przy srebrzystej tualecie... — Zula aż pobladła z nadmiaru wzruszenia. Chciałam ją pożegnać, widząc, że się męczy mówieniem. — Nie odchodź, — rzekła drżącym głosem, — nie opowiedziałam ci jeszcze o polonezie w strojach z epoki Księstwa Warszawskiego, tańczonym na balu Czerwonego Krzyża.

Wyobraź sobie, że mężczyźni wyglądali naogół świetnie, zwłaszcza ci, co włożyli autentyczne pradiadowskie kontusze i ułańskie mundury, a kobiety naogół — fatalnie — wszystkie zyskały sto procent, gdy

włożyły zwykłe suknie balowe... — To był ostatni bal? — Nie, ostatni był podwieczorek, urządzone w tłusty wtorek w sali Ratusza przez wojewodzinę Sołtanową na propagandę zagraniczną. Tańczono tylko do dwunastej, ale zato z takim życiem, jak nigdy... Tańczyłam... tańczy... — Tu Zula obsunęła się na gipiurkowe poduszki i zemdląła. Well

4) JAK WYNALEZIONO RADJO?

Aby wprowadzić lampę katodową w stan działania, rozżarzamy drucik katody przy pomocy specjalnej baterji, zwanej baterją żarzenia. Baterja ta ma zazwyczaj napięcie 4 lub 6 volt i może składać się z ogniów mokrych (akumulator).

Anodę łączy się z ujemnym biegunem katody poprzez baterję o wysokim napięciu (zazwyczaj od 40 do 100 volt) t. zw. baterję anodową. Wreszcie z tym samym biegunem katody łączymy trzecią elektrodę lampy—siatkę przez baterję siatki. Potencjał siatki można dowolnie zmieniać przy pomocy tej baterji, zwiększając lub zmniejszając ilość jej ogniów.

Baterja anodowa łączy się zawsze z anodą lampy swym biegunem dodatnim.

Zatem do wprowadzenia lampy katodowej w stan działania należy przepuścić prąd przez następujące obwody:

- Obwód katody, czyli obwód żarzenia, składający się z baterji żarzenia i katody;
- obwód anody: anoda, baterja anodowa, katoda, przerwa „katoda-anoda“;
- obwód siatki: siatka, katoda, przerwa, „katoda-siatka“, baterja siatki.

Na czym tedy polega działanie lampy?

Otóż rozżarzony drucik katody wytwarza drobne ładunki ujemne, zwane elektronami. Owe elektrony—wskutek znacznej różnicy potencjałów między katodą i anodą lampy—wędrują w próżni lampy od katody do anody.

Jest to t. zw. prąd odwrotny, gdyż zwykle za kierunku prądu uważa się kierunek przenoszenia elektryczności dodatniej.

Elektrony w swej drodze spotykają trzecią elektrodę—siatkę, której potencjał wpływa ogromnie na ich ruch.

Jeżeli siatka posiada potencjał dodatni, to przyciąga elektrony, wytwarzane przez katodę, ułatwiając w ten sposób wędrówkę ich od katody ku anodzie.

Rezultatem tego będzie zwiększenie prądu w obwodzie anodowym.

Gdy zaś siatka posiada potencjał ujemny, wówczas elektrony będą przez nią odpychane, a wskutek utrudnienia ich ruchu prąd anodowy się zmniejszy.

Jeżeli w miejscu detektora ustawimy lampę katodową i połączymy obwód siatki z obwodem anteny odbiorczej, wówczas drgania, powstające w obwodzie anteny, wywołają prąd drgający w obwodzie siatki.

Prąd ten charakteryzuje się tem, że idzie raz w kierunku dodatnim, raz—w ujemnym. Wskutek tego dla celów radjofonii się nie nadaje, gdyż tu potrzebny jest prąd jednokierunkowy.

Wiemy, że detektor stykowy, stawiając w jedną stronę bardzo wysoki opór, przepuszcza prąd tylko w jednym kierunku. W lampie to prostowanie prądu odbywa się w ten sposób, że siatka otrzymuje z zewnątrz ładunki (przy pomocy kondensatora, włączono-

nego w obwód) ujemne, lub dodatnie, przyczem ładunki dodatnie są neutralizowane przez ładunki ujemne elektronów, pochłanianych przez siatkę, zaś ładunki ujemne wywrą pewien wpływ na potencjał siatki, zmieniając zarazem wartość prądu anodowego.

Lampy katodowej używa się też jako wzmacniacza słabych prądów odbiorczych, celem spotęgowania dźwięku odbieranego. To zastosowanie lampy katodowej wynikało z tej jej właściwości, że nieznaczne zmiany potencjału siatki mogą wywołać bardzo znaczne wahania prądu anodowego.

Jako typowy przykład zastosowania lampy katodowej, podajemy tu dwulampowy odbiornik angielski Hoyta. (Fig. 11).

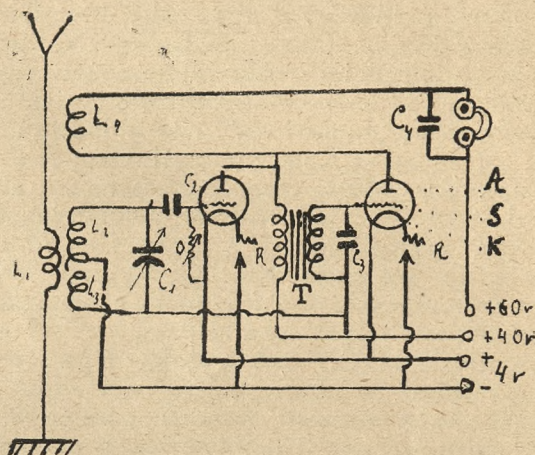


Fig. 11. Schemat A - anoda, S - siatka, K - katoda.

Odbiornik ten posiada jedną lampę w charakterze detektora, drugą—w charakterze amplifikatora. Obwód odbiornika jest sprzężony z anteną indukcyjnie, przy pomocy cewek L_1 , L_2 i L_3 . Dzieje się to w tym celu, aby zmniejszyć szkodliwe tłumienie anteny, oraz uzyskać możliwość nastrajania jej obwodu do rezonansu względem fal odbieranych. Chwytnie odpowiedniej długości fal skutecznia się zapomocą kondensatora zmiennego C_1 poczem prąd zzewnątrz, ładując kondensator stały C_2 , przechodzi na siatkę pierwszej lampy, gdzie ulega prostowaniu. Prąd ten nie może przejść na obwód katody, gdyż zamyka mu drogę wysoki opór o m o w y O.

Jest to jeszcze prąd wysokiej częstotliwości. Powstały pod jego wpływem w lampie detektorowej prąd anodowy zmienia się w transformatorze niskiej częstotliwości T , w kondensatorze C_3 , w drugiej lampie i, przechodząc przez cewkę reakcyjną L_4 oraz kondensator zaworowy C_4 , wywołuje zmiany błony słuchawek.

Żarzenie lamp regulujemy specjalnymi opornikami żarzenia — reostatami R .

Po uważnem rozejrzeniu się w schemacie Hoyta, łatwo już zrozumiemy schemat jednego z najlepszych układów, dającego możność słuchania na głośnik wszystkich stacyj europejskich — pięciolampowej stabilidyny (Fig. 12.)

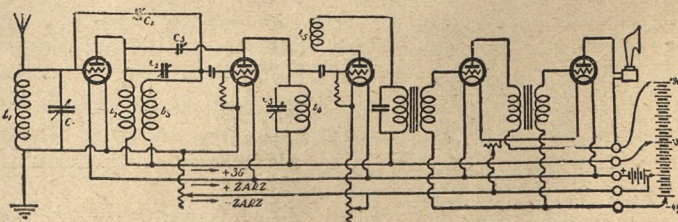


Fig. 12. Schemat Stabilidyny.

Oprócz dwóch wzmacniaczy małej częstotliwości mamy tu także wzmacniacz wielkiej częstotliwości (L_2 i L_3).

A zatem jedna lampa odgrywa rolę detektora, pozostałe wzmacniają siłę odbieranego prądu.

Wnętrze tego układu przedstawia się, jak następuje (Fig 13.)

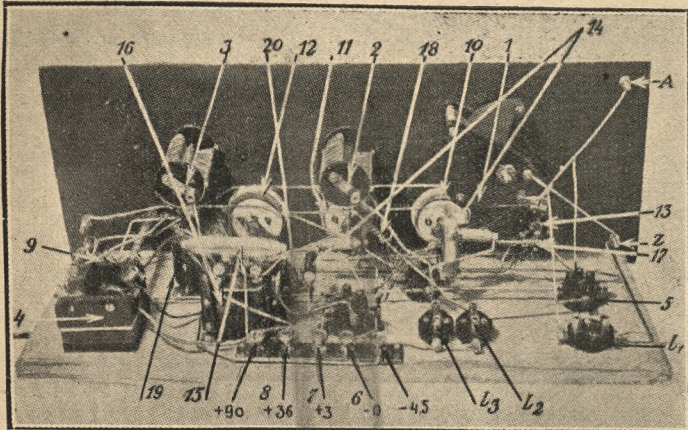


Fig. 13. Wnętrze stabilidyny. A — zacisk anteny. Z — ziemi, 1 — kondens. na 500 cm. C. 2 i 3 kondens. po 200 cm. C. 4 — sprzęgacz na 2 cewki, 5, 9, 20 — trzy z pośród podstawek do lamp, 10, 11, 12 reostaty 13 — przełącznik, 14 i 15 — kondensatory stałe, 16 i 19 — transformatory, 17 i 18 — kondensatory neutralizujące, L_1 , L_2 i L_3 podstawki do cewek odpowiednio do schematu na fig. 12.

Deska rozdzielcza zaś przedstawia się w następujący sposób (Fig 14.)

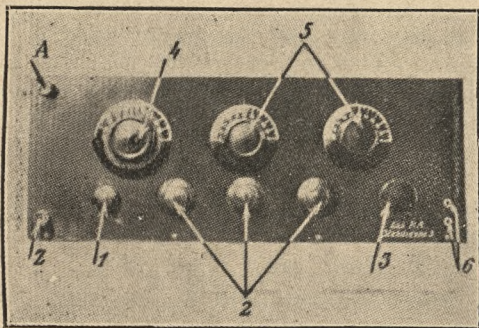


Fig. 14. Płyta rozdzielcza stabilidyny. A — zacisk antenowy, Z — uziemienia, 1 — przełącznik na 4 i 5 lamp, 2 — reostaty, 3 — gałka sprzęgacza, 4 — kondensator zm. 500 cm. C. 5 kondensatory zm. po 200 cm. C. 6 — tulejki telefonu.

Jeżeliby Pani pod wpływem tego artykułu zainteresowała się bliżej radiotechniką, a zwłaszcza problemami konstrukcji odbiorników, to istnieje bardzo obszerna literatura fachowa, w której Pani będzie mogła znaleźć wszystko, co będzie do tego potrzebne oraz wyjaśnić niejedno zagadnienie, którego nie sposób omówić w ramach tej krótkiej pracy. Zresztą z chwilą, gdy zacznie Pani słuchać wykładów radiowych, napewno zainteresuje Panią na dział — Radiotechnika, który niejednemu będzie się mógł Jej przyśłużyć.

Br. L. Życki.

ZDOBIENIE ROŚLINAMI MIESZKAŃ I STOŁÓW JADALNYCH DAWNIEJ I DZIŚ

KILKA WSKAZAŃ

Na jedno należy zwrócić uwagę, by gorące barwy umieszczać w środku (np. przy bukietach, w układanych żardynierach, koszykach i t. d.), a zimne — brzegiem. Znajac te zasady, odnoszące się do barw, nietrudno nam będzie zastosować je w praktyce, i to nie tylko względem samych roślin, ale również do przyborów, akcesoriów i uzupełnień dekoracyjnych, jak wazonów, podstawek, koszyków, żardynier, wstążek i t. p., a skoro uwzględnimy w dodatku niżej przytoczone wskazówki, złożymy niewątpliwie harmonijną i piękną całość.

Sposób „wykonania” zdobień, czy to w formie bukietów, czy napełniania koszyków, układania żardynier, klombików, „milieu” i t. p., bądź przy dekoracji stołów, bądź pokoi, jak powiedziano wyżej, nosić ma piętro swobody, lekkości, w przeciwieństwie do czasów dawniejszych. — Strona techniczna jest obecnie bardzo ułatwiona. Nie nawijamy już dziś obowiązkowo każdego kwiatka na druty, jak swego czasu, nie trzymamy się niewolniczo stałych linii, wywołujących częstokroć sztywność i ciężkość, — nie układamy regularnie kwiatów jednych obok drugich tak, by tworzyły różne desenie, czyniąc wrażenie raczej martwej malatury, czy mozaiki, a nie żywych kwiatów. Lekko związane kwiaty, lub zupełnie „wolne” cięte rośliny wkładamy swobodnie w wazon, czarki, czy koszyki, lub „sadzimy” w piasek, lub mech i t. p. w żardynier, w tak zw. klombiki, „milieu” i „surtout” (służące do dekoracji stołów, stolików, postumentów, konsoli i t. d.), unikając tłoczenia kwiatów jednych obok drugich i wbijania ich ciasno w ziemię, czy t. p., lecz właśnie grupując tak, by między roślinami przebijało światło, powietrze, — by całość przedstawiała się lekko, a gustownie. Widok niewymuszonej żardynier i wazonu z kwiatami wiele miłszy jest dla dzisiejszego oka, niż dawne sztywne piramidalne, czy płaskie bukiety, lub „mozaikowe” jakby żardynier.

Zwyczaj używania kwiatów długo ciętych i rozwinięta hodowla roślin wogóle, a o długich łodygach w szczególności, ułatwia nam niezmiennie stosowanie ich w wymieniony sposób.

Obsadzenie żardynier i koszyków rosnąciami, t. j. doniczkowymi roślinami powinno mieć również charakter lekkości i przezroczystości. W tym celu należy odpowiednio rośliny dobierać i zestawiać, raczej przeciwstawiać, np. „smukłe obok roślin o kształcie odmienym, pełnym i cechach przeciwnych”; czyli kontrastować formami podobnie, jak to czyniliśmy barwami.

Przy „grupach”, bez względu, czy ustawiamy je w koszykach, żardynierach, rynienkach, blaszankach, albo bez takowych, na podstawach, lub wprost na podłodze, zważać należy, by wyższe rośliny umieszczać w środku (np. przy okrągłych grupach), względnie — cofać (przy wydłużonych, przysściennych, dajmy nato); a niższe i przezroczyste, t. j. takie, które pozwalają przeglądać drugim, wysuwać więcej na widownię. Jedne nie mają przyćmiewać drugich, ani kolorytem, ani kształtem, lecz harmonja i równowaga powinny panować pod każdym względem, zatem i wszelkie



przybory do roślin, naczynia i akcesoria powinny odpowiadać całości. Podobnie jak w układaniu kwiatów dążymy do wzorowania się na naturze, tak i w uzupełnieniach dekoracji iść powinniśmy po tej samej linii, utrzymać je w tym samym charakterze. Często-kroć żardyniera z kory lepiej się stosuje, niż przedekorowana, ciężka waza, czy czara; koszyk, pleciony z gałązek, większą harmonję utworzy z całością, niż sztucznie pozlepiany, pomalowany i polakierowany. Unikać też, mem zdaniem, powinno się stosowania przy każdej sposobności papierów crêpe, wstążek i kokard i t. d., natomiast draperja z materji w tym tonie, co obicia mebli, dobrze użyta do przybrania donic, wazonów i t. d., podnosi często urok całości.

Niezmiernie ważną rzeczą przy dekoracji pokoi i stołów, jest sposób „rozstawienia”, roślin, jest to kwestja, znajdująca się zawsze, można powiedzieć, na porządku dziennym i w pierwszej linii interesująca panie domu i ich zastępczynię. Od stałego gustownego ustawienia roślin, tych, co mamy, zależy w dużej mierze estetyczny i miły wygląd naszego mieszkania i w danym razie nawet podniesienie jego elegancji i wytworności. Choć wiele i tu polega na indywidualnym talencie i fantazji, jak wogóle przy zdobnictwie tegoczesnem, to jednak i tym razem moda narzuca nam swe wskazania i kaprysy: co dawniej uchodziło za bardzo piękne, np. zdobienie okien i ustawianie na nich kwiatów, obecnie uważane jest za zły gust.

Niepodobna wchodzić mi tu w szczegóły, zaprowadziłoby to nas zbyt daleko i przekroczyłoby ramy tego artykułu. Przypomnę tylko raz jeszcze, że rośliny rozmieszczamy po pokojach pojedynczo, lub grupami, rosnące (w doniczkach), lub cięte, albo kombinowane jedne z drugimi. Duże rośliny ustawiamy pojedynczo wprost na ziemi, lub na różnych podstawach, kolumnach, postumentach, pieńkach. Palmy, draceny, araukarje i tp. nadają się też do tego i zyskują nawet na takiej samotności.

Zwracać należy uwagę, by lekkich stolików i konsoli nie obciążać zbyt masywnymi grupami i dekoracjami kwiatowymi: przedstawia to nie tylko niebezpieczeństwo dla mebli, ale jest nieproporcjonalne, a tem samem nieestetyczne i nie miłe dla oka. Również wielkość pokoju trzeba mieć na względzie i nie wstawiać za dużej ilości roślin do małego np. buduaru, oraz nie koncentrować masy kwitnących kwiatów o bardzo silnej woni, mogącej odurzyć zebranych.

(d. c. n.)

Ob.



PIERWSZA POMOC W NAGŁYCH WYPADKACH

Najlżejszym z wypadków obrażeń ciała są stłuczenia. Tworzy się wtedy, w miejscu stłuczenia: obrzęk, bolesność i t. zw. siniec.

Przy upadku, lub uderzeniu może nastąpić złamanie, lub zwichnięcie. Bardzo trudne jest do rozpoznania, z czem mamy do czynienia, ze złamaniem czy też zwichnięciem. Laik napróżno będzie się silił to uczynić, czasem nawet lekarz rozpoznać tego nie jest w stanie, dopiero wykazać może prześwietlenie zapomocą promieni Rentgena: tylko fotografia miejsca obrazonego sprawę zdecyduje. Dlatego też w wypadkach uderzeń, stłuczeń i upadku, o ile w danym miejscu odczuwa się ból, należy jedynie ułożyć chorego spokojnie. Narazie tylko unieruchomić kończynę i dać kwaśny okład z wody Burova, a ratunek dalszy pozostawić lekarzowi.

Bardzo ważnem jest zadanie umiejętnego transportowania chorego bez urażeń, bólów i t. d., oraz unieruchomienie danego miejsca, gdzie przypuszczamy złamanie, lub zwichnięcie. Unieruchomić można, przywiązując chusteczką lub ręcznikiem do deseczki, ewentualnie do kija. Unieruchomiamy cały kręgosłup, ewentualnie kończynę górną i dolną.

Natychmiast po wypadku należy wezwać lekarza, by ten odpowiednie zabiegi wykonał. Do nagłych wypadków należą rany—mogą być postrzałowe, darte, cięte, klute, miażdżone i t. d. Rany mogą być głębokie, lub płytkie (powierzchowne zdjęcie naskórka), lub bardzo głębokie, np. rany w jamie opłucnej, lub brzusznej. Głębsze rany mogą dać krwotoki, nawet bardzo silne, tak że chory z powodu utraty krwi umiera.

Utracona krew regeneruje się bardzo szybko, — o ile krwi straci więcej, niż orgonizm może regenerować, chory taki umiera. Przy silnych krwotokach pierwszym obowiązkiem jest ucisnąć miejsce, z którego krew się wydobywa, ewentualnie podwiązać kończynę w miejscu powyżej rany, o ile jest to krwawienie z tętnicy, a poniżej jeśli jest z żyły.

Dla odróżnienia, czy mamy do czynienia z krwią żylną, czy też z tętnicą, należy pamiętać, że tętnica odprowadza krew z serca, o wiele szybciej krąży w niej krew, po przecięciu krew tryska gwałtownie strumieniami o żywo ciemnem zabarwieniu. Przez żyły doprowadza się krew do serca, jest ona barwy sinawej i znacznie powolniej wycieka. Krwotoki tętniczne są bardzo niebezpieczne. Jak jeden, tak i drugi tamuje się zapomocą ucisku, lub podwiązania. Przywiązanie nie wolno sznurkiem, ani rzemykiem, bo ostry przedmiot może robić rany; natomiast najlepiej przewiązywać gumowym wężem, ewentualnie chusteczką, lub bandażem. Przy krwawieniu z żyłaków na nodze należy podnieść kończynę do góry i mocno miejsce krwawiące obandażować.

Tamowanie krwi żyłnej jest o wiele łatwiejsze, niż tętnicznej. Przewiązanie musi trwać nie dłużej, niż godzinę: gdyby zostawić na dłużej, może przyjść gangrena. Na wojnie zdarzały się dość często wypadki, gdy przez pośpiech zapomniano o przewiązanej kończynie i następowała gangrena i śmierć. Przy krwotokach silnego stopnia, wstrzykuje się fizjologiczny roztwór soli pod skórę, w ilości od litra wody do kilku litrów. W ten sposób organizm wypełnia się płynem i krew się regeneruje w bardzo szybkim czasie.

Infuzję pod skórę dokonywać mogą wykwalifikowane siły pod kierunkiem lekarza.

Na każde zranienie głębokie, lub płytkie, nie powinno być lekceważone i po pierwszym opatrunku, pomoc lekarska jest konieczna. Czasem pozornie płytkie rany dają bardzo poważne powikłania. Do powikłań ran należą przede wszystkim zakażenia ran. Zakażenie może powstać z powodu dostania się bakterij chorobotwórczych, bądź to z narzędzia, które ranę dokonało, już to z samej skóry, lub ubrania.

Najmniejsze zranienie może być śmiertelne, o ile będzie zakażone chorobotwórczymi bakteriami. Do ran mogą się dostawać rozmaite bakterie, najczęściej ropne, wywołujące ropienie; jeśli siła bakterij większa, a organizm mniej odporny, przychodzi do zapalenia, najczęściej układu limfatycznego, wtedy to powstaje flegmona, lub w gorszym przypadku, zakażenie ogólne i śmierć.

Pierwszym zadaniem przy ranie jest, jak już wspomniałam, wstrzymanie krwotoku, następnie zaś zapobieżenie dostaniu się bakterij do rany. Należy więc, dotykając się rany, przede wszystkim odkazić swoje ręce zapomocą dokładnego i skrupulatnego mycia wodą z mydłem i szczotką, następnie wytarcie alkoholem. Po odkażeniu rąk, samą ranę i jej okolicę najlepiej jest zajodynować, następnie na ranę położyć czysty kawałek gazy sterylizowanej, lub jodoformowej na to nieco waty i bandażem mocno przymocować. W razie, gdyby rana była zanieczyszczona ziemią, ubraniem i t. d. należy ją umyć roztworem sublimatu. wodą karbolową, lub wodą utlenioną, następnie dopiero zajodynować.

Jodyna—jest to płyn ciemny, specyficznie pachnący, polegający na roztworze jodu i alkoholu. Jodyna jest cudownym środkiem dezynfekcyjnym, powinna być stale pod ręką na każdy wypadek i przy każdej sposobności.

W każdym domu powinien znajdować się opatrunek, tak zwany indywidualny. Jest to mała paczka gazy sterylizowanej, trochę waty, kawałek bandaża, agrafki do przypinania, wszystko umieszczone w nieprzemakalnym płótnie.

Dr. med. J. Świtalska.

POST DAWNIEJ I DZISIAJ

Kiedy sięgam pamięcią w dawne lata mego dzieciństwa, przypominam sobie, że nie tylko wielkie święta doroczne—Boże Narodzenie z Wilją i choinką, Wielkanoc ze święconem—nie tylko wszelkie imieniny i urodziny, wszelkie wielkie zjazdy były poprzedzane ogromnymi kulinarnymi przygotowaniami, obchodzone podawaniem i spożywaniem tradycyjnych potraw i smakołyków. Post, „wielki post“, wywoływał też wielki ruch i zamęt w kuchni i gospodarstwie.

Obserwowany bardzo ściśle co do formy i treści, trwający około siedmiu tygodni, przy dawnym systemie samowystarczalności wiejskiego dworu, zmuszał do robienia, do gromadzenia dużych zapasów. Obecne ogólne dyspensy, ograniczające post do dwóch dni w tygodniu, przyczem na okrasę można używać wszelkiego rodzaju tłuszczów, były nieznane. Post ścisły obowiązywał na kresach wschodnich wszystkich zdrowych, dorosłych ludzi, od środy popielcowej, do samej Wielkanocy. Komu zdrowie nie pozwalało na tak surowy „régime“, brał dyspensę, najczęściej na trzy dni w tygodniu, na jednorazowe jedzenie mięsa, w inne dni jadł dania mleczne, przyczem surowo przestrzegano, aby ci, co jedzą dania mięsne, nie jedli ryby.

Pamiętam doskonale, jak w niesłychanie gościnnym domu matki mojej, na jakimś wielkopostnym przyjęciu, gdzie kolacja była mieszana, służba otrzymała surowy rozkaz, podawania tylko mięsnych, lub tylko rybnych dań gościom i, mimo protestu młodzieży, sumiennie ten rozkaz wykonała.

Kto korzystał z dyspensy, czynił, jako kompensatę, wotum wyrzeczenia się czegoś ulubionego, jakiegoś przysmaku, jakiegoś przyzwyczajenia. Panowie na czas postu wyrzekali się cygar, albo porteru, przekąski przedobiedniej, lub jakiegoś ulubionego gatunku win. Panie nie jadły cukierków, albo leguminy, nie piły czekolady, a jedna z moich ciotek, przez sześć i pół tygodnia nie brała do ust wędliny, którą bajejnie w jej domu przyrządzano i którą nadewszystko lubiła.

Natomiast ci, co obserwowali post ścisły przez sześć dni w tygodniu, (niedziele zawsze były z postu wykluczone), jedli, wiele chcieli, i ponieważ dania postne są mniej pożywne i sycące, zjadali je w niesłychanych ilościach. Jeżeli dodamy, że liczna służba i liczniejsza jeszcze czeladź też zmieniały cały system odżywiania się, nic dziwnego, że już w paru ostatnich tygodniach karnawału furmanki szły do młyna z różnymi zbożami i wracały z mąką owsianą na kisiel, grochową i bobową—na postne bliny, różnymi kaszami itp.

Konopie i siemę lniane przerabiano na olej, sprowadzano beczkami lepsze i gorsze śledzie, suszono drobne gatunki ryb na zupy dla czeladzi, gdyż w czasie samego postu mogła ruszyć kra i na jakiś czas uniemożliwić połów w rzece, lub jeziorze. Sprawdzano stan kapusty w kadziach, znaczone kredą, która ma iść na stół górny, która—na folwark. Wyciągano ze stawu beczki z ogórkami, sprawdzano, czy nie ciekną, coby było znakiem, że ogórki są na nic, i przenoszono je nieodbite jeszcze do lodowni. Z miasta przyjeżdżała zwykle skrzynia konserw, sardynek, kilek

KOSMETYKI

Dr. J. ŚWITALSKIEJ.

Ceny kosmetyków!

Mój krem	Zł. 6.—
Mój puder higieniczny we wszystkich kolorach	„ 4.50
Mydło płynne do mycia włosów — 10 porcyj	„ 5.—
Galaretka łojotokowa	„ 5.—
Mydło liljowe	„ 3.50
Krem do rąk	„ 3.—
Płyn do brwi i włosów	„ 6.—

W najbliższym czasie ukaza się moje ołówki higieniczne do brwi i ust we wszystkich odcieniach.

Róże i krem po goleniu się dla Pań i Panów.

i homarów, flądry ryskie wędzone do przyszłych grochówek, faseczka minogów i olbrzymia blaszanka oliwy. Były to jedyne kupne przysmaki postne, wszystkie inne, nawet doskonały ocet, który—według tradycji, ochmistrzyni przyprawiała w piątek naczczu i będąc bardzo złą, wyrabiał się w domu. Więc w same już zapusty moczono całe barylki śledzi i, nawieszane na sznurki, wędzono w wędzarni, jedne—w zimnym dymie, przypominające obecne śledzie łososiowe, inne—w gorącym, w rodzaju piklingów. Inne porcje śledzi marynowano w rozmaite sposoby: ze skórą i bez skóry, w occie, w sosie musztardowym, w oliwie i sosie majonezowym, z cebulą, z jabłkami, z jarzynami i w nieskończone inne, znane tylko w każdym poszczególnym domu, sposoby. Ryby, złowione uprzednio, umieszczano w olbrzymiej klatce drewnianej, wyłożonej siecią, i zatapiano w stawie, aby móc je wyłowić czerpakiem na każde zawołanie.

Całą specjalną robotą było przyrządzanie rozmaitych ciastek słodkich bez masła i jaj. Pamiętam z nich jakieś wyborne paluszki na soku poziomkowym, tak kruche, jakby na czystym maśle były zrobione. Najwięcej zaś pieczono sucharów. Nie znam ich przepisów, wiem jednak, że były z mąki żytniej pyłowej, że wchodził do nich jednak w jakiejś postaci owies, że były duże, że miały smaczny zapach, że były przysypane solą z kminkiem, lub czarnuszką i że wyborne smakowały z piwem, z miodem i z herbata, —nigdy już takich potem nie spotykałam i nie jadłam.

Teraz, kiedy na świecie nieomal wszystko się zmieniło, pościć każą właśnie ludziom chorym i to nie w pewnych okresach czasu, przez kościół wskazanych i obyczajem uświęconych, ale prawie rok cały. Posty kościelne są sprowadzone do minimum, natomiast posty, nakładane przez lekarzy — bardzo uciążliwe.

Po wsiach, na kresach wschodnich szczególnie, i teraz ludzie suszą, bo gdyby używali nabiału, dzień postny nie różniłby się niczem od nie postnego—nie mogę powiedzieć mięsnego—gdyż mięso jedzą przeważnie tylko w wielkie święta doroczne, lub jesienią, wczasie bicia owiec i wieprzy. Ale w sferach inteligentnych, mimo niesłychanie obszernych dyspens kościelnych, pozostało przyzwyczajenie do narzekania

nie na post właściwie, lecz na trudność układania jadłospisów, smacznego i sytnego karmienia rodziny. Jest w tem jakieś nieporozumienie. Nic nie może być bardziej urozmaicone, niż jarski, czyli, właściwie, postny stół.

Jeżeli ryby w niektórych dzielnicach kraju nie zawsze nabyć można, w małych miasteczkach przeważnie je raz na tydzień na targ przywożą, to wszędzie ku wiośnie jest obfitość jaj i nabiału, wszędzie jest mąka i kasza, wszędzie można dostać suszonych grzybów, nabyć konserw pomidorowych, ostrego sera i chociaż suszonych owoców. Konserwy krajowe są doprowadzone do stopnia wysokiej doskonałości i niezbyt są kosztowne. Kartofle i warzywa pospolite, śledzie nakoniec w każdej wsi nawet w sklepiku współdzielczym sprzedają. Nie może więc być mowy o trudności zdobycia produktów do postnych potraw. Wszak i w dniu mięsne nie samem mięsem się tylko odżywiamy, mięso jemy przeważnie w jednej, najwyżej w dwóch postaciach. Usunięcie więc go z jadłospisu na czas jakiś nie powinno przedstawiać nieprzezwyciężonych trudności. We wszelkich zupach i sosach odwar z grzybów i włoszczyzny, umiejętnie dozowanych, doskonale je zastąpi, a wyrzeczenie się go na kilka tygodni przyniesie bezwzględna korzyść zdrowiu.

Bez mięsa więc doskonale się obejdziemy, natomiast przy stole postnym pierwszorzędną rolę odgrywa nabiał: mleko, śmietanka, śmietana, twaróg i ser świeży, wszelkie sery ostre, jaja — wszystko to powinno być jaknajświeższe, jaknajlepsze. Z jarzyn, przypomnę bulwę włoską, niedocenioną u nas jeszcze, która, smacznie przyrządzona, nie ustępuje kalafiorom, a rok cały prawie, za wyjątkiem letniego periodu silnej wegetacji, świeżą ją kopać można. Szpinak zimowy, szczaw świeży, nawet młoda pokrzywa, są smacznem i zdrowem urozmaicheniem jadłospisów. W tym roku post tak późno się rozpoczął, że lada dzień rynek będzieapełniony młodą sałatką, rzodkiewkami itp. Jestem przekonana, że pomysłowe gosposie nasze tak potrafią postne dania urozmaicić, tak wysmienicie je przyrządzić, że nikt do mięsa nie zateśni, co nie przeszkadza, że na Wielkanoc szynki i indyki, pasztety i prosiaki specjalnem się będą cieszyły powodzeniem.

Pani Elżbieta.

DLA PRENUMERATOREK „BLUSZCZU”

ZNIŻKA 33%

przy prenumeracie kwartalnej miesięcznika ilustrowanego dla wszystkich p. t.

„NA FALI”

Nietylko naukę i pożytek, ale zdrową rozrywkę w estetycznej formie nieść powinno słowo drukowane.

W myśl tej zasady chcemy udostępnić czytelnikom naszym nowe wydawnictwo, dając im za 3 złote prenumeraty kwartalnej 3 numery „Na fali”, których cena w handlu księgarskim wynosić będzie 4 zł. 50 gr.

„Na fali” zawiera ciekawe nowele, humoreski, obrazki egzotyczne, listy z podróży przez specjalnych korespondentów, artykuły popularno-naukowe z dziedziny nowych odkryć i wynalazków, z zakresu architektury, sztuk pięknych, sportu, życia towarzyskiego, tańca, teatru, kina i t. p. Daje obraz życia współczesnego w szeregu artystycznie wykonanych ilustracji.

Specjalną uwagę poświęcać będzie kącikowi humorystycznemu i działowi rozrywek umysłowych.

Każda z Czytelniczek „Bluszczu” powinna natychmiast przesłać prenumeratę kwartalną 3 zł. na konto P.K.O. 14.400.

„Na fali” ukazywać się będzie w końcu każdego miesiąca — pierwszy numer już wyszedł z druku.

Adres Redakcji — Krakowskie-Przedmieście 99. Adres Administracji — Górnośląska 19.



KIEŁBASY DO WĘDZENIA

Mięso wieprzowe, nietłuste, krajać drobno nożem (nie siekać, ani tembardziej nie puszczać przez maszynkę). Na trzy części takiego mięsa dodać czwartą miękkiej, starannie wyżyłowanej wołowiny. Na 10 kilo takiego mięsa wziąć 40 deka soli, 2 deka saletry, 2 deka pieprzu, 1 deka ziela, kto lubi, czosnku główkę — (5 — 8 ząbków). Wymieszać wszystko doskonale, noc przetrzymać w niezbyt ciepłej izbie. Przez szprycę, lub rurkę, dopasowaną do maszynki do siekania mięsa, napychać tem dosyć grube kiszki wieprzowe. Na tydzień powiesić w zimnej, suchej spiżarni, potem wynieść na dni parę na silny wiatr marcowy. Nakoniec powiesić w wędzarni na najwyższej kondygnacji i wędzić przez tydzień w zimnym dymie. To są trwałe kiełbasy na surowy użytek. Chcąc mieć kiełbasy na prędkież użytek, na przykład na święta Wielkanocne, należy wieprzowinę brać tłustszą, lub też do chudej dodać czwartą część pokrajanej drobno, twardej słoniny. Prócz tego wędzi się takie kiełbasy tylko godzin 12, w dobrze gorącym dymie, aby wędząc się, jednocześnie dobrze się podpiekły. Tak przyrządzane są smaczne, lecz nietrwałe.

SELERY NA JARZYNE

Trzy ładne, duże selery, rozmiaru dobrego jabłka, obrać delikatnie z łupin, włożyć w wodę, zakwaszoną octem, aby nie zczerniały, lub natrzeć po wierzchu połówką cytryny. Ugotować w niedużej ilości wody osolonej, dodając łyżeczkę cukru i łyżkę octu. Gdy mięknie, wyjąć, przekrajać na połówki. Zrumienić na maśle sześć grzanek z bułki, rozmiaru połówek selerowych, ułożyć na nich selery i polać następującym sosem: łyżkę masła zasmażyć na biału z pół łyżką maki, rozebrać smakiem, w którym gotowały się selery, do gęstości zwykłego sosu, osolić do smaku. Żółtko rozbić z pół filiżanką słodkiej śmietanki, wlać do sosu, tylko mocno zagrzzać, aby sos dobrze zgęstniał, lecz się nie gotował, bo się zwarzy. Sosem tym polać grzanki z selerami i natychmiast gorące podawać.

CIASTKA KRUCHE

Kilo najlepszej, suchej maki, pół kilo surowego, niesolonego masła, trzy ewierci kilo cukru, jedno jajko i pół szklanki najlepszej, kwaśnej śmietany, na koniec noża soli i tyleż sody, pięć gorzkich migdałów, oczyszczonych i utłuczonych, lub skórka otarta z jednej cytryny, wygnieść prędko razem, gdy się dobrze zmasuje, wynieść na godzinę na chłód. Kruchego ciasta nie należy nigdy zbyt długo wyrabiać, traci kruchość, jak tylko równe i gładkie — ma dosyć. Z tego ciasta można robić najrozmaitsze ciasteczka. Rozwał-

kować je cienko, wycinać blaszaną foremką gwiazdy, półksiężyce i t. p., posmarować żółtkiem, posypać migdałami, lub grubym kryształem i piec do lekkiego zrumienienia. Lub też powycinać z niego placuszki, upiec je, smarować połowę konfiturami, poskładać po dwa razem i podawać. Lub też, zagotować filiżankę mleka, utrzeć duże jajko z pół filiżanką cukru, dodać parę łyżek mocnej, aromatycznej kawy i łyżeczkę najlepszej maki, zmieszać z mlekiem i ogrzewać, aż zgęstnieje (nie gotując). Tą masą przekładać ciastka, zamiast konfitur. Albo z tego ciasta robić cieniuchne wałeczki, formować z nich obwarzanecki małe, smarować żółtkiem, posypać grubo makiem i upiec. Zamiast obwarzanecków — robić długie paluszki, posypywać makiem, kryształem, albo migdałami i piec, jak powyższe.

TORT PIASKOWY

Pół kilo masła niesolonego, tłustego, ucierać na misce tak długo, aż się zrobi białe, jak świeża śmietana, dodać osiem żółtek z jaj na twardo ugotowanych, pół kilo cukru i cztery całe jaja. Dodawać to wszystko kolejno, wciąż masę ucierając w jedną stronę; dodać 30 deka migdałów oczyszczonych z łupin i drobno zmielonych, lub utłuczonych, dwucalowy kawałek wanilii, doskonale utłuczonej z cukrem i na końcu pół kilo najlepszej maki pszennej. Wyrobić doskonale masę, rozdzielić na dwie równe części, upiec w dwóch tortownicach, (jeśli nie mamy dwóch tortownic, można upiec w jednej, bo ciasto, nie mając w sobie piany z białek, stojąc godzin kilka, nie psuje się). Po upieczeniu i ostudzeniu przełożyć następującym kremem. Zagotować szklankę śmietanki, lub dobrego mleka z kawałkiem wanilii. Utrzeć cztery żółtka z pół szklanką cukru, tabliczką utartej czekolady i łyżką maki pszennej. Zmieszać letnie mleko z masą żółtkową i mieszać na wolnym ogniu, aż masa zgęstnieje, nie gotować, boby się żółtka mogły zwarzyć. Masą tą grubo posmarować jeden placek, przykryć drugim. Po wierzchu można posmarować tą samą masą, lub też polukrować lukrem czekoladowym, a z tej masy przez tubkę papierową powyciskać na lukrze różne ozdoby.

Pani Elżbieta.

DOBRE RADY

Łyzik i widelce od sałaty, zrobione z bukszpanowego drzewa, nie powinny być myte wodą, bo tracą politurę. Trzeba oczyścić je czystą szmatką, umoczoną w oliwie, a następnie wygłansować kawałkiem lekko ogrzanej flaneli.

* * *

Doskonały sposób na oczyszczenie flakonów z serwisu po oliwie, albo każdej innej zatłuszczonej butelki: wlać w nie fusów natychmiast po ścieknięciu kawy, póki jeszcze ciepłe i wilgotne. Potrząsać mocno butelką we wszystkie strony, żeby fusy zebrały dokładnie tłuszcz, który czyni szkło matowem. Wypłókać następnie w kilku obfitych, ciepłych wodach i postawić do góry dnem do obsiknięcia. Butelki i flakony odzyskają całkowity blask i przezroczystość.

KORESPONDENCJE

Pani Br. W. w Braszku. Azalja bardzo trudna do przyjęcia w pokoju, rozmnaża się z sadzonek, ciętych na wiosnę po okwitnieniu. Niema potrzeby ścinać ich nad samem oczkiem, najchętniej puszczają korzenie z łodyżki. Sadzonki wsadza się po kilka w doniczkę i trzyma przykryte kawałkiem szkła. Niemożna łączyć z innymi sadzonkami, bo długo trwa, zanim się zakorzenia. Skoro to nastąpi, przesadzać w małe doniczki, trzymać w chłodzie, podlewać średnio.

Pani M. K. z W. Na obrus kościelny z haftem warto brać jedynie płócienną webę, jest śliczna, szeroka 2 m. kosztuje około 30 zł. metr. Trzeba zastosować szerokość na długość. Dostanie Sz. Pani takiej weby w sklepie Krauzego, Mazowiecka 11, w Warszawie. Tiul trzeba wziąć cienki niciany, a bawełnę płaską D. M. C. Nr 25, lub coton perlé Nr. 8. Bawełnianych materiałów nie warto używać, mają brzydki, szary kolor po praniu i są nietrwałe — szkoda roboty. Przytem nadmieniam, że płócienną dawniej cienkości niema obecnie zupełnie. To, które Sz. Pani polecam, jest najodpowiedniejsze.

Szarotce. Tak lisy, jak etole są jednakowo używane. Wybór zależy od wzrostu. Osoby niskie lepiej ubiera etola, na wysokiej figurze ładniej prezentuje się lis, ale jedno, drugie zawsze są noszone.

Pani M. P. N. Wzórów na zasłony paciorkowe nie posiadamy; może zwróci się Pani do firmy Laurysiewicz, Warszawa, ul. Wierzbowa Nr 6.

Pani M. P. Wilno. Firanki, zależnie od wielkości i urzędnia mieszkania, można robić: siatkowe (najmodniejsze), haftowane, lub mreżkowane na markizecie, opalu, batusie, na rzadkiej surówce, na szarem płótnie, haftowane kolorowo, z pasów szydełkowych, łączonych z wyszywaniami, lub mreżkowaniami pasami z nessler (rodzaj surówki). Łóżka przybrać najlepiej materiałem białym, firankowym na metry, lub podwlec batystem w ładny deseń, zastosowanym kolorem do pokoju. Z takiego batystu można również uszyć firanki, wykończone z boków falbaneczkami.

Pani W. P. Bieganowo. Kapelusze najstosowniejszy miękki filcowy, otoczony wstążeczką, związaną z przodu na kokardkę. Kolor dowolny, bo do granatowego każdy pasuje. Pantofle, o ile na wieś — ciemno-brązowe, od góry rozchodzące się paseczki czarne lakierowane, lub plecione ze skóry — dziś najmodniejsze, ale więcej letnie. Rękawiczki jelonkowe białe, lub jasno-żółte do prania w zimnej wodzie z mydłem. Szal krótki, tylko na szyję, jeśli ciepły, to robotą, zwaną „artystyczne tkactwo bez warsztatu”, jeżeli lżejszy, to z crêpe de chine'u, zakończony frendzlą z jedwabiu. Końce ozdobione liworyzacją. Wzór roboty „artystyczne tkactwo bez warsztatu” zobaczy Sz. Pani w najbliższych numerach „Bluszczu”.

Czytelniczko. Farb profesora Buszka dostanie Sz. Pani w Warszawie w sklepie pod firmą J. Buroff, Nowy Świat 47. Farby te nie są zdatne do farbowania futra. O wskazówki, jak ufarbować futro, najlepiej niech się Sz. Pani zwróci do znajomego kuśnierza. Jest to robota skomplikowana, trudna do uskutecznienia w domu.

Prenumeratorko „Bluszczu”. W artykule wspomnianym mowa jest o „elegancji”, a elegancję stanowi całość — dlatego każda

tualeta wymaga innego uzupełnienia. Kamizelki do kostjumu nosi się po pierwsze, bo są bardzo modne, po drugie — dla ciepła. Przy modzie miękkich tilcowych kapeluszy — jeden nawet wystarczy, trzeba go tylko wybrać w ładnym do wszystkiego pasującym kolorze. Płamię na ubraniu czyści się zaraz — nie dopuszczając do takich ostateczności. Jeżeli pod pleśnią aksamitu nie zbutwiał, niech Pani spróbuje zaprać delikatną szczoteczką, letnią wodą; wytarłszy do sucha, trzymać sztywno nad parą, barwą na dół i prasować w powietrzu — po lewej stronie. Suknię aksamitną przybrać można georgettą różową — drobno karbowaną, lub, jeżeli ma być strojna — złotą lamą, pailletami, strassami i t. p. — jednym słowem wszystkim, co się świeci.

O PUDRZE EGZOTYCZNYM D-ra LUSTRA

Z ogólnego dorobku prac w dziedzinie higieny cery wyłonił się nareszcie puder, owoc długoletniej pracy i doświadczeń lekarza - specjalisty, preparat, który jednoczy w sobie wszelkie postulaty higieny i wykwintności. Niemało skomplikowana była ta praca, niełatwe rozwiązanie piętrzących się trudności. Chodziło bowiem przede wszystkim o wyrugowanie tych licznych składników, niszczących cerę i zatrzymujących organizm, które zaprawia przeważna liczba zagranicznych fabrykantów swe pudry, o dobór takich roślinnych składników, które nie tylko przylegają ściśle do skóry, lecz zmiękczają twarde nabłonek, kryją skórę jednolicie odcieniem, dostosowanym do każdej barwy skóry, oraz odznaczają się wykwintnym zapachem najprzedniejszych kwiatów.

Spodziewać się należy, iż puder egzotyczny D-ra Lustra przejdzie w trwały pomnik, obok chlubnie znanych preparatów lekarsko - kosmetycznych z jego przepisów.

KONKURS NA PROJEKT SPRZĘTÓW DLA 3-POKOJOWEGO MIESZKANIA

Komitet Muzeum Rzemiosł i Sztuki Stosowanej w Warszawie ogłasza konkurs na wykonanie projektów sprzętów 3-pokojowego mieszkania, wyznaczając nagrody w kwocie zł. 2400. Termin składania prac 18-go czerwca r. b. Program i warunki konkursu wydaje bezpłatnie Kancelarja Muzeum — Chmielna 52.

KSIAŻKA

p. t.

„100 Postnych i Jarskich Dań“
podaje niezwykle, smaczne i praktyczne przepisy
postnych i jarskich potraw.

CENA 1 zł. 50 gr.

Wysyłamy tylko po otrzymaniu należności.

Tow. Wydawn. „Bluszcz”, Warszawa, Plac Zamkowy 99.
Konto P. K. O. Warszawa № 13.555.

KSIAŻKA

p. t.

„PISANKI“

mówi o pochodzeniu pisanek i tradycjach, z niemi
związanych, oraz uczy, jak zdobić i czem bar-
wić jako wielkanocne.

CENA 1 zł. 50 gr.

Wysyłamy tylko po otrzymaniu należności.

Tow. Wydawn. „Bluszcz”, Warszawa, Plac Zamkowy 99.
Konto P. K. O. Warszawa № 13.555.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”. Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: WANDA PEŁCZYŃSKA (naczelnia) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW
Redakcja i Administracja, Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40. Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Rymarska 8, tel. 244-18.